

"Zabiłem człowieka"

Michał 'Veron' Tusz

Inspirowane twórczością grupy Queen.

Mamo... przed chwilą zabiłem człowieka. Przyłożyłem mu pistolet do skroni, pociągnąłem za spust. Nie żyje... Wiem, że tak rzadko z tobą rozmawiam, a gdy już zacznę mówić, to o takich rzeczach, które najlepiej przemilczeć. Nie chcę sprawiać ci przykrości, ale nie mam nikogo, przed kim mógłbym się wygadać. Już nie.

Jest późno, mój czas powoli nadchodzi. Odczuwam wszechobecny ból... tak cholernie boli, to całe jebane życie!... Chociaż nie jestem pewien, czy to nie przez prochy... Kurwa! Życie jeszcze się nie zaczęło, a ja już je zaprzepaściłem.

Jednak muszę stawić czoła sobie. I prawdzie, bo to, co się stało, co uczyniłem, zapewne nigdy nie ujrzy światła dziennego. Mamo... nie chcę umierać. Czasami wolałbym w ogóle się nie urodzić...

Moje życie było pasmem niepowodzeń, szerokim jak przedwojenna autostrada. Aż do czasu, gdy jakimś cudem udało mi się zaciągnąć się do wojska. Zabawnie to brzmi – "zaciągnąć do wojska"... To nie było realne wojsko, chociaż to prawda, że byłem żołnierzem – żołnierzem Louisa Salvatore, wówczas mojego idola.

Salvatore był typowym, bezwzględny i wrednym gangsterem, nie można tego inaczej ubrać w słowa. Prochy, dziwki, whisky – to wszystko było codziennością w jego knajpie przy Second Street. Nie miał co prawda takich obrotów jak inne gangi w Nowym Reno, ale i tak wszyscy go respektowali. Przepraszam... powinienem był powiedzieć "rodziny", a nie gangi.

Nowe Reno. Kupa braminiego gówna na mapie upadłej Kalifornii. Prochy, dziwki, whisky – dokładnie to samo co w barze Slavatore, tyle tylko, że spotęgowane do granic upadłości, niemoralności i bezprawia. Pierdolona dziura... że też przyszło nam tu żyć. Chyba pech jest mi po prostu pisany.

W każdym razie zostałem członkiem rodziny Salvatore. Jak ich przekonałem? Chyba tym, że potrafię się bić. Mason, prawa ręka Salvatore, przyważył mnie pewnego lipcowego dnia, jak wpięprzyłm jakiemuś dilerowi naprzeciwko meliny Renesco. Dupek... na swoje nieszczęście i mój fart zaczepił mnie i był bardzo nachalny. Tak się złożyło, że Mason akurat wtedy przechodził tuż obok. Odbyłem z nim krótką rozmowę, kazał na siebie zaczekać pod knajpą swojego szefa. Po kwadransie zaprosił mnie do środka. Następna rozmowa była już dużo dłuższa. Opowiedział mi o rodzinie, do której należy. Roztoczyła się przede mną wizja zapanowania nad Reno pod banderą gangu Salvatore. Cóż, nie mogłem się wtedy spodziewać, jak się to wszystko zakończy. Wówczas była to dla mnie ogromna szansa. Każdy człowiek w moim wieku, który jakoś uchronił się przed degeneracją, chciał za wszelką cenę należeć do którejś z rodzin. Może akurat ja nie pragnąłem tego bezwzględnie, ale... męczyło mnie grzebanie trupów na Golgocie dla Emeraldy (pierwszego grabarza w Reno). To była moja możliwość na odbicie się za dotychczasową marną egzystencję.

Opróżniliśmy z Masonem trzy butelki. Chyba go do siebie przekonałem, bo powiedział, żebym przyszedł za parę dni – w tym czasie miał "złatwić formalności". Domyśliłem się, że musi obgadać całą sprawę z "panem Salvatore", jak o nim mówił.

Słyszałem o nim już dużo wcześniej, ale nie dawałem mu powodu, tak jak z resztą reszcie rodzin, żeby w jakiś sposób mnie zauważył. Negatywnie rzecz jasna.

Tak więc zjawiłem się tam kilka dni później. Mason wyszedł na spotkanie i poinstruował mnie, jak mam gadać z Salvatore. Wtedy zauważyłem, że jeśli ów gangster mógł być metaforą alfonsa, to Mason był jego najwierniejszą dziwką. Brzydziła mnie taka ślepa lojalność, ale wkrótce musiałem wyzbyć się tego przekonania. Stary Salvatore wiele nie mówił, bo miał trudności z oddychaniem, rozkazał mi opowiadać o sobie. Gdy już się odezwał, to pieprzył głównie właśnie o lojalności. Chyba i tym razem zrobiłem dobre wrażenie. Następnego dnia jakiś dzieciak w postrzępionych trampkach i zniszczonych spodniach podbiegł do mnie i wręczył mi kartkę. Miałem się stawić u Salvatore na "ślubowanie lojalności". Na czym polegało? No cóż, najpierw poszliśmy się uchlać, a później podymać dziewczyny do "Kociej Łapki". Muszę przyznać, że było to całkiem przyjemny dzień...

Byłem więc prawie członkiem rodziny. Nie byłem jednak głupi i wiedziałem, że muszę się spodziewać egzekucji przyrzeczenia lojalizmu złożonego Salvatore – innymi słowy czekało mnie coś do zrobienia. W najśmielszych nawet myślach nie przypuszczałem jednak, że któryś z gangów Nowego Reno odważy się na takie numery. Jak się okazało Salvatore zawarł umowę z rządem. Na jej mocy wymieniali z nimi jakieś chemikalia na broń. O towarze gangsterów nie wiedziałem praktycznie nic i nigdy się nie dowiedziałem więcej niż tego, że sprowadzają go ze wschodu. Zabezpieczenie takiej transakcji było moim pierwszym zadaniem dla Salvatore. Kurwa, jak ja się wtedy bałem! Jacyś goście w potężnych kombinezonach i ze spluwami mojej wysokości już na nas czekali, gdzieś na środku pustyni, w czarnej dupie... Przylecieli ogromnym latającym czymś, a towar ładował za nich najprawdziwszy robot! Gdyby nas wtedy sprzątnęli, nikt by się o tym nawet nie dowiedział.

Jednak najwyraźniej interesy były dla nich bardziej wartościowe. Razem z Masonem i jeszcze dwoma ludźmi patrzyliśmy bez słowa, jak pakują czarne beczki na maszynę i odlatują. Zauważyłem, że i on ma pietra, ale cóż... biznes to biznes. Takie transakcje odbywały się regularnie, zawsze w pierwszy dzień miesiąca, jak się dowiedziałem dotąd miały miejsce trzy podobne spotkania.

Po pierwszej mojej wymianie handlowej na pustyni Mason uświadomił mnie na co zamienili swój towar. Jak się okazało była to broń. Ale za to jaka! Strzelała... czerwonym światłem! Widziałem w akcji najprawdziwszy pistolet laserowy! Mason wycelował w stos skrzynek, w których zabezpieczone były beczki z chemikaliami. Gdy laserowy pocisk dotknął sterty drewna, ta natychmiast stanęła w płomieniach. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem czegoś takiego. Zapytałem wtedy, dlaczego tylko jedna sztuka broni za tyle chemikaliów. Odpowiedź była oczywista – jest cholernie droga. Do tej pory zbierali trzy egzemplarze, które przetrzymywane były w apartamencie samego Salvatore. W niedługo potem dowiedziałem się, że z jej pomocą rodzina Louisa chce przejąć całkowitą kontrolę nad miastem. Pomyślałem, że z takim uzbrojeniem nie powinno być to trudne, a stary Salvatore zyskał wiele w moich oczach. Stawiał na cierpliwość i na jakość, nie na otwarte wojny czy konwencjonalną, często przestarzałą broń. Jeden jego człowiek z takim orężem mógł rozprawić się zapewne z wieloma przeciwnikami naraz. Na razie jednak Salvatore skupiał się na kompletowaniu uzbrojenia, ja zaś zatrzymałem sobie na stałe Magnuma, którym obdarowali mnie jego ludzie.

Przez następne miesiące wykonywałem czarną robotę dla Salvatore. Do moich

rutynowych zadań należała przede wszystkim warta w barze. Czasem w kilku udawaliśmy się na coś grubszego, na przykład ściąganie długów. Zabawa w windyatorów wychodziła nam niezwykle łatwo i przyjemnie. Dłużnicy srali w portki i bez słowa oddawali należną kasę. Najgorszy był ten skurwiel i meliniarz Renesco. Nigdy wcześniej nie spotkałem takiego typu – nie dość, że miał największy dług, to za każdym razem kłócił się z nami, marudził, przeklinał od czci i wiary, nawet, nie wiedzieć czemu, wyzywał od "świętych Nicków". Ale zawsze oddawał szmal. Czasem Salvatore zlecał mu inne zadania – naprawę broni albo załatwienie bardziej wymyślnych prochów. W każdym razie wizyty w jego śmierdzącej przetwarzanymi prochami rupieciarni były niezwykle denerwujące.

Prochy... No właśnie. W tym czasie spróbowałem praktycznie wszystkiego, co uważane jest za demoralizujące i nieobyczajne. Najgorszym świństwem był zdecydowanie jet. Dobrze pamiętam moje pierwsze spotkanie z tym gównem. Nakręcił mnie na maksa i, choć trwało to rozczarowująco krótko, było przeżyciem wręcz euforycznym. Już w kilka godzin później zacząłem odczuwać pierwsze oznaki głodu. Pomyślałem wtedy, że muszę to skończyć zanim jeszcze zacząłem. Nie chciałem stać się degeneratem, jakich pełno było na Virgin i Second Street. Od tej pory więcej tego nie spróbowałem. Zdecydowanie rodzina Mordino, inny gang z Nowego Reno, zbijała fortunę na rozpowszechnianiu jetu. Praktycznie wszystkie prostytutki, alfonsi, dilerzy, bezdomni, żule i całe renowskie tałatajstwo leciało na jecie od świtu do zmierzchu. Mały Jesus, syn głowy rodziny Mordino, chodził dumny jak paw, z wyższością i pogardą spoglądając na zaćpanych małolatów. Zachowywał się, jakby Reno należało do niego. Czasami aż żal było patrzeć na staczanie się społeczeństwa. Dlatego ja jetu nie brałem.

Czas mijał, ja pracowałem dla Salvatore. Poza tym wszystkim, co powiedziałem, oczywiście najważniejsze były tajemne transakcje na pustyni. Cały miesiąc był podporządkowany tej jednej nocy. Na kilka dni przed pierwszym w piwnicach klubu zjawiały się beczki z chemikaliami. Angażowano mnie do pakowania ładunku najpierw do podziemi baru, później na prowizoryczne lawety. Następnie jechaliśmy na pustkowie z Masonem jako dowódcą. We wrześniu jednak Mason złamał nogę i nie mógł uczestniczyć w październikowej transakcji. Ku mojemu zaskoczeniu Salvatore wybrał mnie jako lidera grupy. Nie wiedziałem jeszcze, czym sobie zasłużyłem i przede wszystkim – co on chce przez to osiągnąć, ale wkrótce poznałem jego zamiary.

Sama transakcja przebiegła bezproblemowo. Mimo że bałem się, może nawet bardziej niż zwykle, to jednak nie dawałem tak tego po sobie poznać, jak robił to Mason. Po raz pierwszy nawet zamieniliśmy z obstawą latającej maszyny kilka żartobliwych słów, które nie dotyczyły handlu. Ta wymiana była inna niż dotychczasowe nie tylko z tego względu. Jak się okazało przedmiotem strony rządowej była tym razem jedynie amunicja do laserowej broni, także nie postrzelaliśmy sobie świetlnymi pociskami. Czym prędzej wróciliśmy do Reno. Salvatore nie czuł się wtedy zbyt dobrze, więc przyjął mnie dopiero następnego dnia. Wówczas dowiedziałem się o jego planach wobec mnie.

Wszedłem do pachnącego stęchlizną i naftaliną pokoju Salvatore i stanąłem obok drzwi, czekając. Szef wskazał łaską na krzeselko, pozwalając mi usiąść. Po chwili obaj zajęliśmy miejsca przy stole pośrodku pomieszczenia. Salvatore mówił cicho i powoli, co jakiś czas przerywając, by zaczerpnąć powietrza z maski tlenowej.

- Jasonie... Jasonie – wydyszał po kilku minutach przypatrywania się mi. –

Spisałeś się naprawdę bardzo dobrze wczorajszej nocy.

- Dziękuję, panie Salvatore – odpowiedziałem z ukłonem.

- Jako nagrodę mam dla ciebie wykonanie bardzo trudnego zadania. Coś, o czym zawsze marzyłeś, prawda?

Nie było to prawdą, ale przytaknąłem.

- To bardzo trudne, ale i bardzo ważne zadanie. Jeśli uda nam się je zrealizować, pozostaną nam do likwidacji jedynie Bishopowie.

- Rozumiem, panie Salvatore, jestem... - zacząłem, ale ten przerwał gestem ręki.

- Na razie posłuchaj. Jak wiesz kompletujemy ludzi i uzbrojenie. Ani Mordino, ani Bishop nie posiadają potęgi nawet zbliżonej do naszej. Wciąż jednak jest ich wielu, dlatego stanowią duże zagrożenie. No i ten nowy narkotyk tych śmierdzieli... Jak on się nazywa, przypomnij mi.

- Jet – odparłem.

- Tak, dokładnie to. Widzisz wykorzystamy to świństwo, żeby wywołać wojnę między nimi a bimbrownikami ze Wschodniej Dzielnicy.

- Z Wrightami?

- Tak – Salvatore kiwnął głową.

- W jaki sposób?

- Ha! I tu zaczyna się twoje zadanie. Musisz przeniknąć do rodziny Wright i osłabić ją od wewnątrz.

Zamurowało mnie. Spoglądałem na staruszkę z maseczką tlenową w dłoni, zastanawiając się, czy czasem nie zaczął bredzić z braku powietrza.

- Jak mam to zrobić? – zapytałem.

Salvatore uśmiechnął się.

- Za takie pytanie mógłbyś wylecieć z tego pokoju na zbity pysk. To twoje zadanie, nie zapominaj. A jednak nie wylecisz. Mało tego – podpowiem ci nieco. Ale najpierw...

Salvatore głośno zastukał laską w podłogę. Drzwi do pokoju otworzyły się i wszedł przez nie Mason, kuśtykając. Złany potem zajął miejsce obok swojego szefa, oddychając szybko. Najwyraźniej męczyło go jego obecne położenie, czyli znajdowanie się w totalnej bezczynności, do tego z przetrąconym kulasem.

- Wytlumacz Jasonowi jego zadanie – wyszeptał stary gangster i zaczerpnął powietrza z prowizorycznego respiratora.

- Według naszych informatorów jeden z dzieciaków Wrighta kręci się ostatnio po Virgin – powiedział Mason. – Pan Salvatore obmyślił plan, według którego masz zdobyć jego zaufanie i dojść do Wrightów jak najbliżej. Dzięki temu możliwe będzie wywołanie wojny między nimi a Mordino.

- Jak?

- Zakładając, że młody Wright może... przypadkowo przedawkować jet.

Szybko załapałem, o co chodzi.

- Trzeba będzie kogoś poświęcić – powiedziałem.

- Chyba nie zamierzasz nikogo żałować, prawda? – zapytał Salvatore, odejmując maskę od czerwieniejącej twarzy. – Całe to ścierno jest plamą tego miasta. Pozbędziemy się ich i przejmujemy całkowitą kontrolę nad Reno. Chcę go całego i chcę tego teraz!...

Salvatore z przeciągłymi świstami wciągał i wypuszczał z płuc powietrze. Mason popatrzył na niego z niepokojem.

- A więc, masz odnaleźć tego młodego Wrighta – kontynuował Mason, rzucając ukradkowe spojrzenia na swojego szefa, - zdaje się, że ma na imię Richard. Znajdź

go i przekonaj do siebie. To powinno ci pomóc – wyjął z kieszeni dwie ampułki z jetem i położył na stole.

- Któryś z Wrightów wziął się za używki? – zdziwiłem się.

- Wrightowie to specyficzna rodzina – odparł Mason. – Nie dość, że podobno naprawdę są spokrewnieni, to również jest ich bardzo wielu, podobnie jak Mordino. Nie trzymają się zbyt blisko centrum. Tak jak powiedziałeś, nikt nigdy nie widział, żeby handlowali z dilerami, zawsze zajmowali się produkcją alkoholu. Dlatego pan Salvatore uważa, że przez tego gówniarza można znaleźć się blisko nich. Jeśli faktycznie zaczął ćpać, co jest bardzo prawdopodobne, to on jest obecnie ich najsłabszym punktem.

Kiwnąłem głową na znak, że rozumiem

- Sprawdź, jak wygląda ich uzbrojenie, dokładna siła liczebna – mówił dalej Mason, – oraz czy nie zajęli się produkcją narkotyków. Pan Salvatore w to nie wierzy, znając starego Wrighta, ale sprawdzić nie zaszkodzi. Będziesz składał cotygodniowe raporty panu Salvatore a twoje środki pieniężne będą niemal nieograniczone. Zapewne większość pójdzie na prochy, jednak wynik tego zadania jest tego wart. W chwili, gdy Mordino i Wrightowie wykończą się wzajemnie, my niespodziewanie uderzymy w nich siłą naszej nowej broni. Wtedy zostanie już tylko John Bishop, który, z tego co wiemy, jest obecnie zajęty czymś poza Reno.

Ponownie potrząsnąłem głową, zatopiony we własnych myślach.

- Czy wszystko jest jasne? Masz jakieś pytania?

- Wszystko jasne – odparłem bezbarwnie po chwili. Jedynym pytaniem, jakie krążyło mi po głowie, było: dlaczego ja? Ale nie odważyłem się go zadać.

Salvatore chrząknął i wydyszał:

- Liczę na ciebie chłopcze. Nie zawieź mnie, a nagroda cię nie minie...

To oznaczało, że rozmowa jest zakończona.

- Jeszcze jedno – powiedział Mason, gdy wstałem i zgarnąłem jet ze stołu. – Musisz przestać być Jasonem Taylorem. Wymyśl sobie jakieś imię. Jeśli ktoś dowiedziałby się zbyt szybko, zwłaszcza któryś z Wrightów, że masz z nami powiązania, cała akcja spaliłaby na panewce.

- Skąd wiadomo, czy już tego nie wiedzą?

- Jesteś nowym członkiem rodziny. Wątpię, żeby cię znali. Szybko wyjdzie na jaw, jeśli posiadają taką wiedzę. Wtedy obmyślimy coś innego.

"A ja co najwyżej zginę...", pomyślałem. Kiwnąłem głową.

- Utrzymaj się przy życiu... i nie rozczaruj nas... - zakończył Salvatore.

Wstałem, ukloniłem się i wyszedłem z apartamentu wiekowego przestępcy, będącego moim pracodawcą.

Siedziałem w "Dżungli" i oglądałem pojedynki bezmózgich, przeładowanych testosteronem i napakowanych sterydami bokserów. Była sobota, wieczór walk. Piłem piwo i rozmyślałem nad zadaniem od Salvatore. Wszystko było jasne – chcąc zaćpać dzieciaka Wrightów i zwalić winę na Mordino, by ci się wzajemnie wytłukli. Pomysł trzeba przyznać był genialny. Istniał jednak drobny problem. Ja.

Nie myślałem o tym, czy podołam tej misji. Chodził mi jedynie po głowie obraz wyimaginowanego, zaćpanego Richarda Wrighta, którego jeszcze nigdy nie spotkałem, i który miał przed sobą prawdopodobnie tylko kilka miesięcy życia. Byłem rekieterem i żyłem w zdegenerowanym mieście, więc skąd te obyczajne myśli? Nie mogłem w ten sposób podejść do mojego zlecenia, musiałem się wyzbyć wszelkich moralnych zachowań i zacząć grać, by osiągnąć cel.

W tym momencie zauważyłem Młodego Jesusa wchodzącego do siłowni.

Wysoki, postawny, z cwaniackim uśmieszkiem na twarzy i nożem o czerwonej rękojeści w dłoni, którym bez przerwy się bawił. Witał się ze wszystkimi, a raczej to oni przybiegali do niego z wyciągniętymi rękoma. Kilku ochroniarzy obserwowało uważnie wszystkich adeptów młodego przestępcy. Młody Jesus promieniał i tryskał energią. Po chwili zaczął rozdawać jet, czym wzbudził euforię wśród zebranych w "Dżungli" ćpunów. Minutę później już go nie było. Dokończyłem piwo i również wyszedłem. Nie miałem ochoty patrzeć na naszprycowanych, nadpobudliwych narkomanów, którzy na skutek odlotu już zaczęli łapać za krzesła wokół ringu...

Od następnego dnia zacząłem kręcić się po Virgin i Second Street w żulerskich ciuchach, by odszukać młodego Wrighta. Według opisu Masona miał około dwudziestu lat, a wyróżniać miał się czarną chustką, którą zrolowaną wiązał sobie na czole. Ujrzałem go dopiero w środę. Był niskim, drobno zbudowanym chłopakiem o niewinnej twarzy, któremu dałbym co najwyżej szesnaście lat. Kręcił się niby bez celu po uliczce tuż za "Desperados", zauważyłem jednak, że rozgląda się wokół z niepokojem. Ciekawe, czy patrzył tak za dilerem, czy może obawiał się kogoś z Mordino. Kilka chwil potem podszedł do niego ten czarny dupek, Jimmy J. Minutę później młody Wright znikł.

Moja obserwacja trwała prawie dwa tygodnie. Mason dawał mi do zrozumienia, że, jeśli nie Salvatore, to przynajmniej on zażąda wkrótce jakichś efektów. Miałem w dupie, co mówił, ale wiedziałem, że muszę przystąpić do działania. Okazja nadarzyła się dwa dni później.

Jak zwykle siedziałem ukryty w śmieciach między tłącymi się beczkami na tyłach kasyna Mordino, udając ćpuna. Usłyszałem jak ktoś przedziera się przez barachło, którym usłany był asfalt za budynkiem. Poznałem od razu, że był to młody Wright – miał charakterystyczny chód: powłóczył nogami, robiąc przy tym sporo hałasu, dzięki temu jednak mogłem go rozpoznać. Wyjąłem z kieszeni dwa jety. Nagle wstałem i niby przypadkiem wpadłem na niego. Jet wyleciał mi z rąk.

- Kur... sory, stary... - wydyszałem i momentalnie schyliłem się, nie spoglądając mu w oczy.

- Nic się nie stało – odparł młody Wright. – Pomogę ci...

Kucnął i sięgnął po fiolkę z narkotykiem. Spojrzał na nią, później na mnie. Ja udawałem zajętego szukaniem czegoś pod stertą gazet.

- Widzę, że jesteś swój człowiek – powiedział cicho, oddając mi jet i nie spuszczać go z oczu.

Jęknąłem wstając powoli i biorąc jet z jego chudej dłoni. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Obróciłem głowę w lewo i w prawo.

- Chcesz trochę? – mruknąłem. – Mam nie tylko to...

To była prawda, w międzyczasie zakupiłem prawie wszystkie dragi dostępne na ulicach Nowego Reno.

- Nieee... - przeciągnął młody Wright. – Mam już umówione spotkanie z Jimmym...

- Wiesz co, ja bym od niego nie brał towaru – odrzekłem po chwili. – Szczyci się, że ma najczystszy w mieście, ale to gówno prawda. Targuje się razem z Julesem, więc...

- Skąd to wiesz? – zapytał chłopak podejrzliwie.

- Widziałem. Możesz mi nie wierzyć, jak nie chcesz, każdy... sprzedawca mógłby tak powiedzieć. Ale... ja mogę dać ci gwarant...

Oczy mu się rozszerzyły.

- Jaki?

- Weź to – podałem mu dwa jety.

- Tak... za frajer? – zdziwił się.

Wzruszyłem ramionami.

- Jest ryzyko, jest zabawa, nie?

- Skąd mam wiedzieć, że jest w porządku?

- A co? Boisz się, że umrzesz? Nie rozśmieszaj mnie...

Wiedziałem, że taka zabawa jest niebezpieczna, ale mimo wszystko brnąłem w to dalej. Młody Wright wciąż nie był przekonany.

- Przecież nic nie będziesz z tego miał – powiedział, ale wyczułem niepewność w jego głosie.

- Być może potencjalnego klienta – odparłem, - więc mi się to opłaca. Wszystko zależy już tylko od ciebie.

Wright patrzył na jety tkwiące w mojej wyciągniętej ku niemu dłoni. Wykonał gest, jakby chciał je zabrać, ale nagle wstrzymał się.

- Jimmy nie ściga cię, że mu podbierasz klientów? – zapytał.

- Nawet o mnie nie wie – odrzekłem. – Prochy, oprócz mózgu, zabrały mu wzrok. To stary dupek, tylko patrzeć aż wykituje...

Chłopak uśmiechnął się.

- Racja...

Wyciągnął dłoń i wziął ampułki. Niemal usłyszałem, jak przetykam ślinę.

- Zaryzykuję, co mi tam... Jak mogę cię znaleźć?

- Przyjdź tutaj, a ja sam cię znajdę – odparłem.

Kiwnął głową.

- Tak swoją drogą, jestem Sammy – powiedziałem, gdy odwrócił się w stronę, z której podążał.

- Richard – odrzekł i uśmiechnął się. Po chwili odwrócił się, a ja patrzyłem, jak odchodzi.

- Wiem, Richardzie... - szepnąłem do siebie i z ulgą rzuciłem się na swoje udawane posłanie. Sammy? Skąd mi przyszło do głowy to imię?

To zadziwiające, co ludzie są w stanie zrobić, byle tylko dostać działkę. Richard Wright zjawiał się dwa później.

- Towar najlepszej jakości – powiedziałem, wręczając mu kolejne dwa jety.

- Zgadza się, tak jeszcze nie odleciałem! – odparł młody Wright.

Gdy dowiedział się o cenie, aż go zatkało.

- To jest prawie trzy razy taniej niż u Jimmy'ego!

Uśmiechnąłem się tajemniczo.

- Widać mam lepsze wtyki.

- Stary... niedługo całe Reno będzie się u ciebie stołować...

Skrzywiłem się.

- Wiesz... powiedzmy, że sam sobie dobieram klientów. Im więcej musiałbym sprzedawać, tym gorszy byłby towar. A tego byśmy przecież nie chcieli, prawda?

- No nie, racja – odrzekł Richard, chowając jet do kurtki.

- Więc... jeśli mogę mieć taką prośbę... nie polecaj mnie nikomu, okej? Wyjdzie to z korzyścią dla nas obu. A zwłaszcza dla ciebie...

- Okej, nie ma problemu, Sammy – Richard klepnął mnie w ramię.

- I tak jest w porządku – odparłem z uśmiechem.

- Do zobaczenia wkrótce.

Jeszcze w tym samym tygodniu złożyłem pierwszy raport do Salvatore. Był

zadowolony. Ja zaś dalej robiłem swoje. Spotkania z Richardem stały się regularne. Sprzedawałem mu coraz więcej jetu, którego dostarczał mi Mason. Musiał być naprawdę w dobrej jakości, bo młody Wright zachwalał go sobie przy każdych zakupach. Czasem w ramach promocji dostawał ampułkę gratis, którą zażywał na miejscu, przy mnie. Momentalnie robił się blady, później czerwony i dostawał cholernego spida. Jego źrenice rozszerzały się do granic możliwości. Bałem się tylko jednego – żeby na haju nie wygadał się o swoim dostawcy. Moje obawy okazały się słuszne.

Leżąc pewnego dnia, otulony kartonami, usłyszałem odgłos kroków. Na pewno nie był to Richard. Przez zmrużone oczy dojrzałem diler Jimmy'ego J. z Second Street, który rozglądał się z wyrazem wściekłości na twarzy i długim nożem w ręce.

- Gdzie jesteś, skurwielu?... Ja ci, kurwa, pokażę, co znaczy podbierać mi klientów – mruczał pod nosem

W końcu mnie ujrzał.

- Ty! Gdzie jest handlarz z tego zaułka?

Zacząłem coś bełkotać. Jimmy schylił się i złapał mnie za płachtę, w którą byłem odziany.

- Słyszysz mnie? Mów gdzie jest twój diler?!

Pozwoliłem, by głowa opadła mi do tyłu i chrapnąłem.

- Jebany ćpun... - wydyszał Jimmy i rzucił mną o beton. Po chwili odszedł. Richard zjawił się godzinę później.

- Co ty odpierdalasz?! – naskoczyłem na niego. – Wygadałeś się, że ci sprzedaję?!

Dojrzałem strach w jego oczach.

- Nie, Sammy, to nie ja... to nie tak...

- Jeśli nie potrafisz trzymać języka za zębami, to i my nie mamy o czym gadać.

Młody Wright przeraził się.

- Nie, Sammy, proszę! Kurwa, przepraszam cię! To już się więcej nie powtórzy!...

Patrzyłem na niego, dobrze udając złość.

- Przepraszam, Sammy!...

Westchnąłem ze zniecierpliwieniem.

- No dobra, przestań się mazgać jak jakaś baba – powiedziałem. – Lubię cię, więc pozostaniesz moim klientem. Trzymaj – podałem mu pięć ampułek z jetem.

Richard pokręcił głową z niedowierzania.

- Stary... co to za promocja?

- Lubię cię – powtórzyłem. – Niech to będzie twoją gwarancją, że więcej się nie wypaplasz.

- Jasne – odrzekł Richard, chowając narkotyki, jednego jednak zostawił w dłoni.

- Ale musimy zmienić miejsce. Przyjdź tu pojutrze dokładnie o ósmej wieczorem.

- Amen, bracie – odrzekł Richard, szykując się do zażycia jetu. Wstrzymałem jego dłoń.

- Nie zachowuj się jak ćpun – Richard spojrzał na mnie. Po chwili oblał się rumieńcem wstydu.

- Jasne – powtórzył. – Pojutrze o ósmej.

Odszedł. A ja popatrzyłem za nim z poczuciem, że zaczynam mieć go w garści. "Lubię cię" ... Ha, to mi się udało... Hm...

Składając kolejny raport Masonowi i Salvatore zapytałem czy nie znają miejsca,

w którym mógłbym przenieść miejsce spotkań z Wrightem. Jeszcze tego samego wieczora Mason pokazał mi pewna ruderę kilka przecznic na wschód od "Dżungli", całkiem blisko dzielnicy rządzonej przez Wrightów. Była to niewielka, stara pakamera, jednak solidna i dobrze zabezpieczona. Na drzwiach i kratkach w oknach widać było ślady nieudolnych prób włamania się do środka. Miejsce wydawało się idealne i takie też było – opuszczone, odosobnione, wygodne. Zaprowadziłem tam Richarda rzezonego dnia.

- Niezła miejscówka – powiedział. – Mieszkasz tu?

- Można tak powiedzieć. Raczej tylko nocuję. Wpadniesz na herbatę?

Roześmialiśmy się razem.

- Jasne, czemu nie?

Rozejrzałem się wokół.

- Wiesz, mam chyba tylko browar.

- Może być.

Richard usiadł na zniszczonej kanapie pod ścianą, ja oparłem się o stół. W milczeniu sączyliśmy piwo z butelek.

- Słyszałeś, co ostatnio wyczyniał Młody Jesus? – zapytał nagle.

- Co takiego?

- Rozdawał jet pod "Dżunglą". Ot, tak, za frajer.

- Hm, bawi się we mnie, czy jak?

Richard ponownie się roześmiał.

- Wiesz, pomyślałem wtedy o tobie. Mam nadzieję, że nie jesteś jego człowiekiem.

- Nie, daj spokój. Jestem niezależny. Wszyscy Mordino to dupki. Z resztą chyba każda rodzina w Nowym Reno. Każda, która handluje złym jetem.

Musiałem ostrożnie dobrać słowa. Nie wzbudziłem jednak jego podejrzeń.

- To prawda. Żeby każdy tak handlował jak ty, to mielibyśmy tu jebane niebo na ziemi. Z resztą na jecie powinien być umieszczony napis: "wykonano w niebie".

- Skoro tak mówisz. Ale niebo nie jest dla wszystkich – dodałem po chwili.

- A powinno być! – odrzekł młody Wright. – To, co złe chyba już stało się na świecie. Wystarczy spojrzeć na Reno. Teraz każdy powinien zaznać trochę szczęścia. Wiesz jak sobie wyobrażam niebo?

- No?

- Jak wieczny odlot!... – powiedział Richard, wyciągając się na zeżartej przez mole kanapie.

Roześmiałem się.

- No, faktycznie, jest to jakaś wizja.

- Pewnie. Pomyśl sam. Kto nie chciałby żyć wiecznie?...

- Ja bym chyba nie chciał – odparłem po zastanowieniu.

- Tak, ale dlaczego? Właśnie przez to jebane, zrujnowane miasto, przez całe otoczenie. Czy to jest świat, w jakim wyobrażaliśmy sobie żyć? Nie!...

- I myślisz, że jet jest lekarstwem na to całe bagno?

- Nie wiem. Nie wiem. Ja ciągle szukam. Szukam, bo chcę odnaleźć coś takiego, przez co na moment zabraknie mi tchu. Pamiętam moją pierwszą dawkę. To było właśnie takie uczucie. Dlatego na razie zawieram jetowi.

- Nie boisz się tak brać? – zapytałem. – Że kiedyś weźmiesz za dużo? Albo tak przymulisz, że nie będziesz mógł już przestać?

Richard odpowiedział dopiero po chwili.

- Jestem człowiekiem, któremu tylko jedno w głowie – masz jedno życie, wykorzystaj je, bo jest tyle do zrobienia. Kompromis nie jest dla mnie. Dlatego żyję

tak, jak żyję. I dobrze mi z tym.

Spojrzałem na niego i pomyślałem, że ten młody człowiek, niewiele w sumie młodszy ode mnie, mówi mądrze i z sensem. Po raz pierwszy zacząłem odczuwać wątpliwości, co do mojego zadania.

Richard zaczął wpadać odtąd niemal codziennie. Często przesiadywał u mnie do późnych godzin nocnych. Piliśmy, ćpaliśmy i generalnie przyjemnie nam się ze sobą gadało. Jet zażyty na odurzony sporą ilością alkoholu organizm miał zupełnie inne działanie, niż na trzeźwego. Kilka razy za namową Richarda skusiłem się na taką mieszankę. Oj, to był naprawdę niezły odłot...

Jednak Rick, który oświadczył, że najbardziej lubi, gdy tak zwracają się do niego inni, bardziej respektował jet w czystej postaci. Czasem nie mogłem za nim nadażyć, gdy będąc na spidzie zaczął opowiadać jakieś niestworzone historie, zrodzone w jego wyobraźni. Kilka razy przekonywał mnie, bym spróbował, ale odmawiałem. Nie chciałem wpaść, tak jak on powoli wpadał. Nieraz gadaliśmy o tym, ale przekonywał mnie, że ma wszystko pod kontrolą.

- Spoko, Sammy, nie jest ze mną tak źle, jak myślisz – mówił. – Fakt, że bez przynajmniej jednego jeta dziennie byłoby ciężko, ale na razie daję radę.

Ciężko było mi w to uwierzyć. Nie mniej jednak chwile odurzenia były przeplatane takimi z pełną świadomością. Nasze rozmowy dotyczyły chyba wszystkich kwestii i spraw, o których można było rozmawiać.

- Czasem chciałbym być psem – powiedział kiedyś. – Psy mają zajebiście. Zero zmartwień, pełna wolność... Nawet ruchają, kiedy chcą.

- Stary, w takim razie jesteśmy rasowymi kundlami!

Momentami śmiechu nie było końca.

Wiedziałem jednak, że Richard zмага się z pewną rzeczą, której rzecz jasna byłem świadom, czyli jego przynależności do jednej z rodzin w Nowym Reno. Często, gdy rozmowa schodziła na te tory i zmierzała w stronę Wschodniej Dzielnicy, on milkł i starał się zmienić temat. Nie naciskałem, udając, że nie wiem, o co może mu chodzić. W głębi duszy było mi jednak głupio i chciałem, żebyśmy mieli tę kwestię z głowy. Z drugiej strony prawdopodobnie zmieniłoby to w jakiś sposób nasze relacje, a nie chciałem zaprzepaścić wszystkiego, co udało mi się wypracować do tej pory. Czekałem więc. Wreszcie Richard sam poruszył tę sprawę.

- Sammy, powiedz mi, czy ktoś z tej rodziny ze Wschodniej Dzielnicy sprawiał ci kiedyś jakiegokolwiek problemy?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Widzisz... nie wiem jak to powiedzieć... Nie wiesz jeszcze o mnie wszystkiego.

Milczałem.

- No więc... - zaczął, ale wyraźnie sprawiało mu trudność wypowiedzenie się. – Ech, kurwa, co mi tam – ja należę do tej rodziny. Nazywam się Richard Wright.

Uniosłem brwi.

- Ta? Nie gadaj... - udałem zdziwionego. – No to... zajebiście!...

- Serio? Nie przeszkadza ci to?

- No co ty? Przynajmniej będę miał wtyki.

Richard uśmiechnął się.

- Niewątpliwie. Uff – odetchnął po chwili, - myślałem, że pójdzie gorzej.

- Dlaczego? A co w tym złego?

- Cóż, niektórym przeszkadza to, że ktoś jest w jakiejś rodzinie.

- A co ja jestem? Mały Jesus? Daj spokój. Sam nie należę do żadnej, więc i mi to wisi, z której ty pochodzisz. No, chociaż Mordino to bym chyba nie zdzierzył.

Roześmialiśmy się. Od tej pory Richard opowiadał mi o rodzinie Wrightów. To, co wiedziałem, potwierdziło się. Zajmowali się produkcją i sprzedażą bimbru, przez pośredników kupowały u nich pozostałe gangi. Nie trudnili się narkotykami. Okazało się, że jest ich prawie trzydziestka plus cała masa strażników. W większości byli ze sobą mniej lub bardziej spokrewnieni, czasami "naturalizowali" pewnych ludzi, czyli werbowali zaufane osoby, wymagając jednak, by przyjęły one ich nazwisko. Głową rodziny był Orville Wright, wiekowy, ale pełen werwy mężczyzna. Dystrybucją zajmował się jego syn Christopher, brat Ricka, nazywany przez wszystkich Chrisem. Benjamin, czyli jak można się było domyślić – Ben, odpowiadał za produkcję alkoholu. Był jeszcze Keith, za którym, jak wyczułem, Richard nie przepadał, prawa ręka ojca Wrighta w sprawach interesów i... ukrywania całego biznesu przed ich matką, Ethyl. Cały dowcip polegał na tym, że była ona święcie przekonana, że jej mąż, a co dopiero jej dzieci!, nie zajmują się tym, czym się zajmują. Mało tego, postawiła sobie za cel oczyszczenie Nowego Reno z wszelkiej maści używek, powołując do życia jakąś organizację o dziwnej nazwie, do której jak na razie należała... tylko ona. Poza tym Wrightowie mieli w swych szeregach ludzi z każdej kategorii profesji – od kowala do lekarza, dosłownie wszystkich.

Zauważyłem, że jedynie Richard nie miał wyznaczonej żadnej funkcji, choć, wedle jego słów, był ulubieńcem swojego ojca. Z jego opowieści wynikało jednak, że nie odpowiada mu ta sytuacja. Może dlatego zaczął stamtąd uciekać? Nie wiem. Nie wiedziałem również, że pod koniec tego tygodnia będzie mi ciężko złożyć raport Salvatore.

Nasze wesołe ćpanie trwało dalej. Czas wyznaczały nam ciche pyknięcia i krótkie syki, odgłosy, jakie wydawał jet podczas jego zażywania. Richard przesiadywał w mojej śmierdzącej komórce praktycznie cały czas. Bałem się, że wkrótce zacznę wypytywać o mojego dostawcę. Ale Rick nie pytał, bo i ja nigdy nie wspominałem o niczym na ten temat. Dostawał towar, więc było mu wszystko jedno. W międzyczasie opowiedziałem mu także prawie całą swoją historię – że mama umarła mi, gdy byłem gówniarzem, że ojciec zapił się niecałe dwa lata temu, o tym, jak trudniłem się grzebaniem trupów i jak spałem z żułami przy kościele. Poza tym, że pominąłem wątek Salvatore, cała reszta była prawdą.

Salvatore był zadowolony z dotychczasowych rezultatów mojego zadania. Był cierpliwy, nie porywczy i zapalczywy jak Mason. Poza tym zdrowo się wkurwił na swojego sługusa, o czym mnie nawet poinformował. Mason omal nie doprowadził wymiany na pustyni do katastrofy – oczywiście swoją głupotą i brakiem jakiegokolwiek dystansu. Salvatore oznajmił mi wówczas, że grudniową transakcję przeprowadzę ja, więc muszę z tego powodu znaleźć chwilę czasu. Nie byłem tym zachwycony.

Któregoś dnia udaliśmy się na spacer po Virgin Street. Spotkaliśmy Julesa, śmierdzącego tanią wodą kolońską, niskiego czarnucha po pięćdziesiątce. Też handlował prochami, ale miał tak zanieczyszczony jet, że aż nie chciało się tego brać do ręki. Głównie sprzedawał go nowoprzybyłym do miasta wędrowcom i kupcom z karawan.

- Siema, Jules – powiedział Richard.

- Ach, witam, witam, panie Wright – ukłonił się nisko. – Co pana do mnie sprowadza? Jak się miewa ojciec?

- Co cię obchodzi, jak się miewa? Wiedz, że dowiedział się już, że próbowałeś kiedyś wcisnąć trochę tego świństwa jego ulubionemu synkowi – wskazał na ampułkę jetu, wystającą mu z kieszeni.

Jules strwożył się.

- Ja... nie... - zaczął się jąkać. – Ja nic...

- Tak, tak, "ty nic". Wierz mi, Jules, gdyby naprawdę o tym wiedział, już dawno nie byłoby cię tutaj.

Odeszliśmy. Obejrzałem się przez ramię. Stary Jules odprowadził nas gniewnym spojrzeniem.

- Po co to było? – zapytałem.

Rick wzruszył ramionami.

- Trzeba się czasem rozerwać, nie? Zabaw się, Sammy, ponuraku...

Nagle wpadł mi do głowy idiotyczny pomysł.

- Znam lepsze zabawy – odparłem.

- Jakie?

- Chodź, zobaczysz.

Weszliśmy w alejkę tuż obok kasyna Mordino. Po tym jak spławiliśmy kilka dziwek i podrzędnych dilerów, poszukałem czegoś ciężkiego. Znalazłem spory kawałek cegły i popatrzyłem na ogromne, świecące, neonowe logo klubu, napis "Desperados". Richard załapał, o co mi chodzi.

- Stary, ale to będzie odjazd, wiesz o tym?

Uśmiechnąłem się.

- Zmarzęm jak diabli, może zrobi się ciepło.

- O, na pewno. Ale poczekaj... jest tu jakaś droga ewakuacji?

- Spoko, znam ten teren. Między budynkami dobiegniemy praktycznie do Wschodniej Dzielnicy.

- Luz. A więc do dzieła?

- Do dzieła.

Richard chwycił kawał blachy i podeszliśmy bliżej wejścia. Mieliśmy sporo szczęścia, obaj bramkarze, którzy zwykle tu pilnowali, musieli wejść do środka. Spojrzeliśmy po sobie. Zamachnąłem się i rzuciłem w logo nad wejściem do kasyna. Rozległ się huk. Litera "R" wydała ostatnie tchnienie i zgasła. Richard wycelował i również rzucił. Miał lepszego cęla ode mnie, bo jego blacha ostrą krawędzią walnęła w górny zaczep, którym przymocowana była ta sama litera "R" do muru. Zaczep puścił i nagle neonowy znak przechylił się do przodu, zawisając jedynie na dolnym haku. Hałas jaki przy tym powstał mógł obudzić wszystkie trupy, które zakopałem na Golgocie.

- O, kurwa... - wyszeptał Richard.

- Dobra, spieszmy stąd!...

Wtedy z baru wyskoczyło kilku potężnych gości z "tomaszkami" w łapach. Rozległy się strzały. Pochyleni uciekaliśmy przed siebie alejką, byle jak najdalej od kasyna. Przedzieraliśmy się przez góry śmieci, co chwila oglądając się za siebie. Oddalony, głuchy łoskot oznajmił nam, że "R" na dobre opuściło napis "Desperados". Strzały jednak nie ustawały. Nagle przy wchodzeniu w zakręt Richard poślizgnął się i przewrócił.

- Sammy!...

Podbiegłem i podniosłem go. Nie mógł dalej uciekać, miał chyba skręconą kostkę. Usłyszałem przedzierających się przez sterty odpadów oprychów Mordino. Rozejrzałem się gorączkowo. Zauważyłem, że w budynku przede mną brakuje piwnicznego okna. Nie myśląc wiele wepchnąłem tam Richarda. Na szczęście dziura

była na tyle szeroka, że Rick spokojnie przez nią przelazł. Ukryłem się w ostatniej chwili. Banda Mordino zatrzymała się tuż przy naszej kryjówce. Zaklęli ze zrezygnowania i odeszli, dysząc ciężko.

My zaś dusiliśmy się ze śmiechu.

- Kurwa! Ale jazda! – wyszeptał Richard.

- Jak twoja noga?

- Boli jak cholera – syknął, - ale... warto było... Co to?!...

Wrzasnął i podskoczył. Usłyszałem pisk szczura. Napadł mnie dziki śmiech. Richard rzucił we mnie pustą puszką.

- Bardzo zabawne...

Kilka minut później jakoś wydostaliśmy się z zapyziałej piwnicy. Prawa noga Ricka spuchła jak balon i wiedziałem, że nie zdoła samemu dostać się do domu. Pomogłem mu więc, łapiąc go wpół, a prawe ramię zarzucając sobie na barki. W ten sposób dokuśtykaliśmy do Wschodniej Dzielnicy. W porównaniu do reszty Reno było tu wręcz sterylnie. Czysto i miło, aż chciało się tu mieszkać. Udaliśmy się do budynku przy dawnej trakcji kolejowej, chyba musiała być to kiedyś stacja. Weszliśmy do środka.

- Co tu się, kurwa, dzieje?! – przywitał nas ochrypy głos ubranego w skórę i łańcuchy, potężnie zbudowanego człowieka.

- Cześć, Chris!... – wydyszał Richard, ciężko siadając na ławeczce w rogu.

- W coś ty się znowu wpakował, Rick? – krzyknął Chris. – Co się stało?

- Ach... przewróciłem się – machnął ręką. – Sammy pomógł mi dotrzeć tutaj.

Poznajcie się: Chris to jest Sammy, mój przyjaciel.

Chris szybko obejrzał mnie z góry do dołu i lekko skinął głową. Nie kwapił się z wyciągnięciem ręki, więc i ja tego nie zrobiłem.

- Gdzie byłeś?

- Tu i tam. Nie musisz wiedzieć wszystkiego.

- Dobra, dobra, zobaczymy jak będziesz śpiewał przy mamusi...

- Nie rozśmieszaj mnie – prychnął Richard, - dobrze wiesz, że gdybyś cokolwiek jej powiedział, ona dowiedziałaby się o naszym biznesie...

Chris popatrzył na niego z góry i uśmiechnął się.

- Nic dziwnego, że stary chce cię na swojego następcę. Masz łeb.

Richard wzruszył ramionami.

- Idę do Bena. Chodź, Sammy.

Zachwiał się przy wstawaniu, więc podałem mu rękę.

- Dzięki, stary... - szepnął.

Przeszliśmy przez drzwi do pokoju po prawej stronie. Przywitał nas siedzący za biurkiem mężczyzna przy kości.

- Hej, Rick! Słyszałeś, że... co jest z twoją nogą?!

- Spoko, chyba ją trochę zwichnałem. O czym słyszałem?

- Nie przedstawisz mi swojemu kumplowi?

- Ben, to jest Sammy, pomógł mi się tu dostać.

- Och, witam w takim razie – Ben wyszedł zza biurka. Wymieniliśmy uścisk dłoni. – Przyjaciel Ricka jest moim przyjacielem.

- O czym słyszałem?

- Eee, nic takiego. Ktoś zrobił rozróbę w klubie Mordino. Rozwalili im ten napis nad wejściem.

Ben wrócił na miejsce za biurkiem. Spojrzeliśmy po sobie. Od naszej akcji minęła raptem nieco ponad godzina.

- Wieści szybko się rozchodzą – powiedział Richard.

- Wiedziałeś o tym?
- Coś tam obito mi się o uszy.
- No, podejrzewają, że to początek wojny rodzin w Nowym Reno.
- Naszej też?
- Nie żartuj nawet! Ojciec nie chce o tym słyszeć. Wiesz przecież, że nie mamy broni...

Nagle urwał, spoglądając na mnie.

- Nie przejmuj się. Sammy jest z nami...

Richard skierował się w stronę łóżka w prawym rogu pokoju.

- Nie, Rick, znowu mam spać na dole? – wyjęczał Ben.

- Och, daj spokój. Wiem, że i tak bardziej to lubisz, bo możesz osobiście sprawdzić jakość wyrobu. Lepiej zrobiłbyś mi herbaty...

Ben pokręcił głową i zszedł do piwnicy schodami po drugiej stronie pomieszczenia. Richard walnął się na łóżko.

- Będę chyba spadał, Rick.

Richard poprawił opaskę na czole i spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczyma. Wiedziałem, co to oznacza. Rozejrzałem się wkoło i podałem mu dwie działki jetu. Jedną Richard zużył od razu.

- Sammy, jesteś moim najlepszym przyjacielem...

Uśmiechnąłem się.

- Do zobaczenia.

"To jest Sammy, mój przyjaciel" – te słowa brzęczały w mojej głowie nieustannie tego wieczora. Im bliżej było pierwszego dnia grudnia, tym mniej chciałem wracać do mojego pracodawcy.

A jednak, ten dzień zbliżał się i to nieuchronnie. Salvatore przypomniał mi o nim podczas składania kolejnego raportu. Oznajmił też, że prowokacja, jakiej mam się dopuścić, musi mieć miejsce najwcześniej w styczniu. Wtedy uzbrojenie będzie skompletowane, a "sile rodziny Salvatore nie oprze się nikt w Nowym Reno." Przyjąłem to bez szczególnego entuzjazmu. Prawdę powiedziawszy, miałem już serdecznie dość całej sytuacji. Z drugiej strony wiedziałem, że niewiele mogę zrobić, by ją poprawić.

Nasza przyjaźń z Richardem zacieśniała się. Byliśmy naprawdę zżyci i rozumieliśmy się bez słów. Miałem świadomość, że utrzymuje ze mną kontakt głównie ze względu na jet, ale nigdy wcześniej czegoś takiego nie przeżywałem. Miałem prawdziwego przyjaciela po raz pierwszy w życiu.

Nasza akcja przy kasynie "Desperados" odbiła się dość szerokim echem w całym Reno. Mordino nie wiedzieli, kto był sprawcą, chodziły słuchy, że Duży Jesus wyznaczył pokaźną nagrodę za jego schwytanie. Nie byliśmy zaniepokojeni, ale dla świętego spokoju nie pojawialiśmy się w tamtej okolicy. Mały Jesus nie rozdawał już jetu na lewo i prawo, a jego kasyno zatrudniło kilku kolejnych goryli. Świadomość, że to właśnie my narobiliśmy im takiego bałaganu, było niesamowitym uczuciem.

Ben Wright od razu mnie zaakceptował, jednak Chris wciąż mi nie ufał. Szybko to zauważyłem i starałem się go unikać, nie chcąc sprowadzać problemów ani na siebie, ani na Ricka. Według jego słów zaś nikt w rodzinie nie podejrzewał, że w ogóle cokolwiek bierze, a już tym bardziej, że jest uzależniony od jetu. Ja natomiast ograniczyłem kontakt z Masonem jedynie do spotkań, gdy dostarczał mi prochy. Często brałem większą ilość, by widzieć go jak najrzadziej, zdarzało się, że kazałem mu zostawiać towar u Billa, barmana. Spotkania z Salvatore były niestety koniecznością.

Wreszcie nadszedł pierwszy dzień grudnia. Postanowiłem już wcześniej, że tego dnia nie spotkam się z Richardem. Popołudnie wlokło się niemiłosiernie, a nuda i brak rozmowy, od której stałem się nałogowcem zupełnie jak Rick od jetu, doskwierała mi podwójnie. Odczuwałem wyrzuty sumienia, że muszę go okłamywać. Coraz częściej łapałem się na tym, że rozmyślam nad tym, jak by to było, gdybym nie pracował dla Salvatore.

Powoli nadchodził wieczór, na zewnątrz było już ciemno od kilku godzin. Uznałem, że pora wychodzić, mimo że miałem jeszcze sporo czasu. Wtedy ktoś zapukał do drzwi. Nikt poza Richardem nie wiedział jednak, że tu mieszkam, więc...

- Sammy, musisz mi pomóc – wydyszał Rick. – Chris się wściekł, ubzdurał sobie, że to ja rozjechałem logo knajpy. Musisz zaświadczyć, że nas tam nie było!...

Oblał mnie zimny pot.

- Chodźmy – wyskoczyłem z mieszkania.

Czym prędzej, na ile pozwalał na to stan wciąż bolącej nogi Richarda, udaliśmy się w stronę Wschodniej Dzielnicy. Po kilkunastu minutach wpadliśmy do starej stacji kolejowej.

- Aha! – krzyknął Chris swoim chropowatym głosem, gdy tylko nas zobaczył. – I wszystko jasne! Byliście tam razem! Co wyście sobie, do ciężkiej cholery, myśleli?!

- Chris, mówię ci, że to nie ja! – odrzekł Richard. – Nie my! Po co mielibyśmy się tam kręcić?!...

- Zamknij się, Richardzie! – przerwał mu brat.

- Nie to ty się zamknij i mnie posłuchaj! To, co mówisz w ogóle nie trzyma się kupy! Gdyby Keith albo ojciec dowiedzieli się, że się tam kręcę, postawiliby na mnie krzyżyk!

- Och, ojciec dowie się, tego możesz być pewien! – Chris złapał się za głowę. – Kurwa!...

- Ale, Chris, jaką masz pewność, że... - wstawiłem się za kumplem, ale starszy Wright przerwał mi jadowitym tonem:

- Ty się nie odzywaj i najlepiej będzie dla ciebie, żebyś więcej się tu nie pokazywał...

- Spierdalaj! – wrzasnął Richard i ruszył do niego z pięściami. – Rozumiesz?! Po prostu się pierdol!!!!

Powstrzymałem go jednak. Nie chciałem, by skoczyli sobie do gardeł z własnym bratem.

- To prawda, Rick, tak będzie lepiej...

- Gówno prawda, Sammy!

Richard uspokoił się nieco dopiero po kilku chwilach. Christopher spacerował po pokoju intensywnie myśląc. W końcu zatrzymał się na środku pomieszczenia i oznajmił:

- Muszę pogadać z Mordino. Nie ma innego wyjścia.

Spojrzelśmy na niego w milczeniu. Zdumienie to za mało, by wyrazić to, co poczułem.

- Tak zrobię – ciągnął dalej Chris, - przeproszę go, może to załatwi nam współpracę z ich rodziną...

- O czym ty, kurwa, mówisz?! Przecież oni nawet nie wiedzą, kto im to zrobił!... – krzyknął Richard, ale Chris go nie słuchał. Już zmierzał w kierunku drzwi. Richard wstał i zagroził mu drogę.

- Nie zatrzymuj mnie teraz! – powiedział Chris.

- Nie pozwolę ci pójść! Mały Jesus prędzej sprzeda ci kosę niż będzie chciał z

tobą gadać!

- Przykro mi, braciszku... - odrzekł Chris i z całej siły kopnął Richarda w jego skręconą kostkę. Rick wrzasnął z bólu i upadł. Zanim go pozbierałem, Chrisa już nie było.

- Idź za nim, Sammy!... Oni go zabijają!

Wybiegłem z budynku i skierowałem się w stronę centrum miasta. W głowie uruchomił mi się zegar, świadomość zbliżającej się transakcji na pustyni była przyklejona do mojego mózgu jak kartka na lodówkę. Wiedziałem, że jeśli bym się nie zjawił, konsekwencje mogłyby okazać się dla mnie tragiczne.

Wreszcie dojrzałem Chrisa Wrighta. Szedł szybko, gestykulował i mówił do siebie. Co on sobie myślał? Że tak spokojnie wyjaśni wszystko Mordino? Chyba kompletnie nie znał tutejszych realiów. Obszedł kasyno "Desperados" uliczkami od wschodniej strony. Nagle zatrzymał się. Obserwowałem jak przybiera wyprostowaną postawę. Wziął głęboki wdech i ruszył. Wyrzucił z ręki węgiel. Mały Jesus sprzedawał prochy kilkunastoletniemu chłopakowi. Był bez swoich goryli. Wezbrała we mnie złość. Chytkiem podszedłem najbliżej jak mogłem, ukryłem się za kontenerem na śmieci, w którym zapewne mieszkał jakiś żebrak.

Chris zatrzymał się w pewnej odległości od Jesusa. Ten dojrzał go. Spławił dzieciaka i zmrużył oczy. Po chwili na jego twarzy pojawił się obleśny uśmiech.

- Proszę, proszę... czy to nie pan Wright? – powiedział ociekającym jadem głosem.

- Witaj Mały Jesusie, synu Dużego Jesusa. Przybywam w pokoju.

Złapałem się za głowę. W jakim świecie żył ten człowiek?! Mały Jesus, co zrozumiałe, wybuchnął śmiechem. Skrzyżował ręce na piersi i uklonił się.

- Witaj, wodzu sąsiedniego plemienia. "Dźgający Nóż" pozdrawia "Tchórzliwego Durnia"!...

Młody Mordino śmiał się w głos. Chris spoglądał na niego niepewnie.

- Słuchaj, chcę przeprosić za to, co się stało.

- Czyli za to, że żyjesz? – odparł Jesus, a w jego dłoni błyskawicznie znalazł się nóż.

- Hej, hej, nie chcę żadnych kłopotów – Chris podniósł dłonie w geście poddania i cofnął się o krok.

Mały Jesus uśmiechnął się złośliwie i strzelił brwiami. Zaczął powoli zbliżać się do Wrighta.

- Dlaczego nie wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia?...

- Hm, niech się zastanowię... Gówno mnie to obchodzi?

Chris cofając się minął mnie. Dostrzegłem przerażenie w jego oczach.

- Ha, ale mi się trafiło! – syknął Mordino. – Jednego Wrighta mniej...

- Nie chcesz wiedzieć, kto popsuł wasze kasyno?...

- Nie... - odparł Jesus. – Po co, skoro jego trup sterczy już na Golgocie?

Chris był zdezorientowany. Wciąż cofał się, wpatrując się w Jesusa, który właśnie mijał moją kryjówkę. Obserwowałem, jak Chris niebezpiecznie zmierza ku kupce cegieł, o którą niechybnie zaraz by się potknął. Wtedy zza rogu wyskoczył Richard.

- Chris!... – krzyknął.

Na twarzy Jesusa pojawił się grymas wściekłości. Ruszył z impetem na Wrighta. Wtedy wyskoczyłem zza śmietnika i przygwoździłem go do ściany. Aż jęknął. Po chwili dostał dwa strzały w pysk i upadł.

- Uciekajcie! – krzyknąłem.

- O, ty, skur... - Mordino wypluł krew i zaczął szukać noża, który wypadł mu z

dłoni w chwili mojego ataku.

Nie myśląc wiele pociągnąłem mu "z kopa", zgarnąłem spomiędzy śmieci jego oręż i szarpnąłem Chrisem, który stał oniemiały. Wciąż patrząc na Jesusa, odwrócił się i zaczęliśmy uciekać. Pomogliśmy Rickowi, który nie mógł biec, uszkodzony wcześniejszym kopniakiem brata. Po kilku minutach byliśmy już bezpieczni.

Chris długi czas siedział za swoim biurkiem i nie odzywał się, chowając twarz w dłoniach. My zaś patrzyliśmy na niego z uśmiechami na twarzach, rozmawiając o ostatnich wydarzeniach i przyglądając się nietypowemu nożowi Małego Jesusa. Nagle brat Ricka wstał i podszedł do nas.

- Przepraszam was, chłopaki – powiedział wyraźnie zawstydzony. – Nie mam pojęcia... co mogę powiedzieć. Naprawdę... nie wiem, co ja sobie myślałem.

Richard uciszył go gestem dłoni.

- Nic nie mów, Chris. Uznajmy, że to się nigdy nie stało.

Brat Ricka zwrócił się do mnie.

- Dzięki za pomoc. Nie musiałeś, a jednak...

W milczeniu uściśnąłem mu dłoń. Wymieniliśmy spojrzenia. Zauważyłem, że było mu strasznie głupio.

- Następnym razem zastanów się, co mówisz – powiedział Richard. – I nie próbuj tak mocno – nie z Mordino.

Tej nocy transakcja na pustyni, na którą o mało się nie spóźniłem, była wyjątkowo udana, a grymas na twarzy Masona, który widział w jakiej jestem formie, był jeszcze bardziej wykrzywiony.

Po wszystkim zapytałem Richarda, skąd u Chrisa w ogóle pojawiły się takie przypuszczenia względem niego. Stwierdził, że musiał palnąć jakieś głupstwo, które jego brat, swoim zwyczajem, zinterpretował dosłownie, mimo że w domyśle było oczywistym żartem. Chris po prostu taki był i trzeba było ostrożnie dobierać przy nim słowa. Po tej akcji jednak zaakceptował mnie jako kumpla Richarda i za każdym razem, gdy pojawiałem się na ich stacji – czyli praktycznie codziennie – witał mnie z uśmiechem.

Mały Jesus prawie przestał pokazywać się na Virgin Street. Bez swojego talizmanu, czyli zdobionego, dodatkowo ostrzonego, zapewne wykonanego na specjalne zamówienie bojowego noża z czerwoną rączką, najwyraźniej czuł się jak bezbronne dziecko. Wszyscy doskonale wiedzieli, że potrafi sprzedać kosę jak chyba nikt inny w Nowym Reno, teraz wyczuwalnie był zagubiony. Gdy już zdarzyło mu się wyściubić połamany nos z "Desperados" chodził w obstawie przynajmniej trzech dwukrotnie większych od niego goryli. Nie odgrażał się jednak i nie rozповідаł wokół o swojej ewidentnej porażce – nie chciał stracić wizerunku niepokonanego syna wielkiego gangstera, który został wyraźnie nadszarpnięty. Dla jaj zaczęliśmy mu podsyłać ironiczne listy z jego wymalowanymi karykaturami i nożem z czerwoną rękojeścią, których autorem był Rick. Najlepsze było to, że wiedział, albo domyślał się, kto jest ich autorem, ale nic nie mógł z tym zrobić, by nie rozpętać w Reno piekła, jakim niewątpliwie byłaby wojna rodzin. Na razie ze względu na dystrybucję ogromnych ilości jetu, byłby to dla Mordino samobójczy gol.

Nadszedł dzień wizyty u Salvatore. Już na samą myśl chodziłem wściekły od samego rana. Richard od razu wyczuł, że coś jest nie tak. Zacząłem ściemniać, że nie czuję się najlepiej i tego typu dyrdymały. Gdy odchodził z mojej pakamery, zacząłem ze złości rzucać wszystkim, co miałem pod ręką. Postanowiłem – to będzie ostatni raport. Kończę z tym.

Na spotkaniu dowiedziałem się, że Salvatore zakupił kolejne egzemplarze laserowej broni, następna transakcja odbędzie się na kilka dni przed grudniowymi świętami, oraz że mogą przystąpić do akcji na początku roku. Nie odważyłem się wystąpić z propozycją rezygnacji – szybko dotarło do mnie, że wydałbym na siebie wyrok. Nie omieszkałem jednak nieco ubarwić swoich historii... A w zasadzie całkowicie ich zmyślić. W nowym świetle Richard Wright wychodził z nałogu, co mogło w znaczący sposób utrudnić i odwlec w czasie realizację planów rodziny. W ten sposób wymigałem się również od uczestnictwa w spotkaniu na pustyni. Salvatore oznajmił mi, że czeka na mój znak. Bez tego nie ruszy dalej. Dało mi to więcej czasu na obmyślenie własnego planu – ucieczki z jego gangu.

Obraz Ricka, który przedstawiłem staremu Louisowi, był nazbyt optymistyczny. Prawda była taka, że Richard pogrążał się w swoim uzależnieniu od jetu. Cztery dawki dziennie były minimum, by jako tako funkcjonował, zdarzały się dni, że brał nawet sześć, siedem działek. Prawie w ogóle nie jadł, czarne jak węgiel oczy wyróżniały się na kredowobladej skórze, górna warga w dziwny sposób zaczęła odsłaniać zęby, wyglądał już naprawdę okropnie. Aż dziw, że nie wzbudził podejrzeń swoich bliskich. Rozgadał się przy tym jak jakiś cholerny orator, czasami słuchając go miałem wrażenie, że mówi od rzeczy. Zacząłem go pytać, czy nie przesadza, co będzie jak dowiedzą się jego starzy, albo jeśli przedawkuje. On jednak wciąż powtarzał:

- Spoko, Sammy, wszystko pod kontrolą. Mówię ci, też powinieneś spróbować. Stary... jest w tym jakaś magia. Coś, co nie pozwala od tego uciec. To jest jak... miłość mojego życia! Mówię ci... zwiąż swoją mamuszkę i odleć razem ze mną... Mała szalona rzecz zwana jet...

Gadał jak ćpun. Jego słowa nie uspokajały mnie, ale nie interweniowałem. Jeszcze niedawno byłem sam jak palec, teraz miałem kumpla... Myślałem, że wiem, co robię, coś jednak zaczęło się sypać...

Po ostatnim spotkaniu z Salvatore długo myślałem, w jaki sposób uwolnić się od niego i przeżyć. Dowiedziałem się, że jakiś lowelas zaciągnął u niego dług i nie wywiązał się na czas. Ukrył się jednak tak dobrze, że ludzie Salvatore za nic nie mogli go odnaleźć. Czyli było to możliwe! Ale zastanawiałem się, czy chcę takiego życia – w ukryciu przed wszystkimi, bojąc się wyjść na ulicę. Poza tym nie miałem pomysłu, jak to osiągnąć.

Postanowiłem jednak działać i po raz pierwszy wykonałem bardzo niebezpieczny ruch – przełożyłem swoje spotkanie z Salvatore. Nie miałem pojęcia jak zareaguje, zwłaszcza, że zrobiłem to przez pośrednika w osobie barmana jego knajpy. Byłem jednak zdecydowany... albo zdesperowany. Wiedziałem, że igram z losem, chciałem jednak uciec od tych ludzi za wszelką cenę.

Minął termin dodatkowej transakcji na pustyni, zbliżały się święta. Richard z tej okazji zmienił opaskę na czoło z czarnej na czerwoną, był jednak w dołku. Dowiedział się, że ktoś z rodziny zaczyna podejrzewać, że być może zaczął ćpać. W rodzinie Wrightów było to jednoznaczne z wydaniem na siebie wyroku śmierci. Trudno było w to uwierzyć, ale takie mieli zasady. Orville Wright i jego żona byli zdecydowanymi przeciwnikami wszelkich używek, oczywiście wyłączając działalność alkoholową, o której paradoksalnie matka nie miała zielonego pojęcia. Tak czy siak nie tolerowali żadnej formy narkotyków. Richard zwierzył mi się, że na dniach wyczekuje trudnej rozmowy z ojcem. Od jakiegoś czasu odsunął się od rodziny, w

domu pojawiał się okazjonalnie, mimo że posiadał tam swój własny pokój. Nie mogło to ujść uwadze jego krewnym. Poprosił mnie, bym mu towarzyszył.

- Ale Rick, przecież twój mnie wpuszczają do środka!

- Jakoś damy radę, chcę mieć świadomość, że słyszysz tę rozmowę. To doda mi otuchy.

To były najważniejsze słowa, jakie ktokolwiek kiedykolwiek do mnie wypowiedział.

Dzień rozmowy z ojcem nadszedł w święta. Rick wymyślił, że po prostu poprosi ojca o otwarcie okna, pod którym ja będę przysłuchiwał się ich konwersacji. I faktycznie, po jakimś czasie usłyszałem chrobot uchylanego lufcika. Do moich uszu doszedł zmęczony głos starszego mężczyzny.

- Richie... Richie... powiem wprost – modlę się, żeby to, co o tobie usłyszałem, było podłym żartem. Gdyby nie powiedział tego Wright, prawdopodobnie już by nie żył. Nie życzę sobie takich insynuacji względem mojego syna. Nie chcę wiedzieć jak jest naprawdę, bo dla mnie prawda jest tylko jedna. Wiesz o tym, synu?

- Tak, tato – odrzekł Richard.

- Powiem tylko tyle... Wiem, życie jest okrutne, życie jest bezlitosne, jesteśmy zezwierzęceni i zdiczali. Życie jest jak uprzykrzająca się dziwka albo pies, który co rano wyje, bo nie znajduje w misce nic do żarcia. Ale życie jest też cholernie prawdziwe... Słuchasz mnie?

- Tak, tato.

- Wiele nie brakuje, żeby je przegrać. Nie chcę, żebyś pewnego dnia obudził się i stwierdził: wszystko zdechło... Wszystkie marzenia, plany, cele. I nie chcę, żebyś zmuszony był się zastanawiać, po co w ogóle żyjesz. Richie, obudź się póki jeszcze jest na to pora, słyszysz?

- Tak, tato – miałem wrażenie, że Richard wpadł w trans.

- Pamiętaj, tylko dobrzy umierają młodo. Lecz jeśli miałbyś być zły, ale dożył mojego wieku – bądź zły. Tylko przeżyj. Nie ma bowiem nic gorszego na świecie niż strata dziecka. Mówię ci to jako zły człowiek, bo ja jestem złym człowiekiem. Mówię ci to jak ojciec do syna. Zapamiętaj moje słowa, Richardzie – zawsze będziesz dla mnie najważniejszy. Zawsze będę walczył u twojego boku, tę walkę zacząłem zanim jeszcze się urodziłeś...

Po dłuższej chwili usłyszałem Ricka:

- Dziękuję, tato.

Te słowa wypowiedział płacząc.

Po przedłużającym się okresie ciszy domyśliłem się, że Rick musiał opuścić pokój ojca. Skierowałem swe kroki na stację, jednak tam go nie było. Udałem się zatem do mojej pakamery, naszego ulubionego miejsca spotkań. Dotarłem na miejsce i wszedłem do środka. Wtedy zamarłem – Richard purpurowy na twarzy leżał na podłodze. Jego ciałem wstrząsały drgawki, z ust toczyła się piana, oczy niemal wyszły z orbit. Podbiegłem do niego. Przyłożyłem rękę do piersi – serce prawie chciało mu wyskoczyć, oddech miał szybki jak cholera! Wykrzykiwałem jego imię, bez przerwy trzęsąc nim i tłukąc po twarzy. Nagle zamarł. Przestał w ogóle się poruszać. Przyłożyłem ucho do piersi – usłyszałem tylko ciszę. Wpadłem w panikę, nie wiedziałem, co mam robić! Wstałem i podbiegłem do drzwi. Ale po co, do cholery?! Kto mi niby pomoże? Wróciłem z powrotem do Richarda. Z całej siły uderzyłem go w splot słoneczny. Nic. Ponownie. Nabrał powietrza do płuc zachłannym haustem...

O, kurwa...

Odetchnąłem z ulgą, która odebrała mi resztkę sił. Osunąłem się na podłogę. Richard otworzył lekko oczy i błędnym wzrokiem rozejrzał się po moim mieszkaniu. Zauważył mnie.

- Hej, Sammy... po co siedzisz na podłodze? – powiedział ledwo słyszalnym głosem.

- Cześć, Rick – wychrypiałem, - w sumie nie mam nic lepszego do roboty...

Richard chciał ruszyć lewą ręką, ale nie potrafił tego zrobić w tej chwili.

- Aha... wiesz... ja... potrzebuję przerwy...

Odwrócił głowę w drugą stronę. Jego prawa ręka powędrowała wyżej wzdłuż ciała i zatrzymała się na czterech pustych ampułkach po jecie.

- Ja także, Rick – powiedziałem do siebie.

Richard po przedawkowaniu dochodził do siebie przez równe pięć dni. Spał niemal przez cały czas, prawie nic nie jadł. Wmuszałem w niego jakieś żarcie, żeby nie wykitował z głodu, ale szło to bardzo opornie. Pozostawał w jakimś dziwnym stanie, w jakimś amoku, bolesnej apatii... nie wiem jak to nazwać. Bełkotał od rzeczy, choć nietrudno było mi się domyśleć, że jego organizm potrzebuje dawki narkotyku. Z sensem zaczął gadać dopiero trzeciego dnia wieczorem. Gdy dotarło do niego, co zrobił, wyszeptał:

- Kurwa... dzięki, Sammy...

Ja zaś miałem okazję i czas, żeby przemyśleć i uporządkować wiele rzeczy. Obserwując, wcześniej narkotyzującego się, a teraz półprzytomnego Richarda, dotarło w końcu do mnie, że moja misja ma na celu śmierć przyjaciela. Śmierć przyjaciela!... Dlaczego tak późno to sobie uświadomiłem?! Jakim byłem cholernym egoistą!... Zrozumiałem przy tym jeszcze jedną rzecz – muszę się przyznać. Wyznać przed Richardem, kim jestem, całą prawdę o sobie – dla kogo pracuję, co robię, jak dążę ku pograżeniu jego oraz całej rodziny Wrightów. Ale... czy starczy mi odwagi?...

Tymczasem Richard powoli wstawał na nogi. Przez te kilka dni wziął chyba mniej jetu, niż zdarzało się to wcześniej wciągu jednej doby. Niestety, musiał brać, by w ogóle jakoś egzystować. Moje zapasy prochów skurczyły się do zera, więc zmuszony byłem udać się do ludzi Salvatore. Tak się złożyło, że w ten dzień przypadła także kolej złożenia raportu. Musiałem się dość gęsto tłumaczyć, dlaczego nie pojawiłem się u niego przez tak długi czas. Nie miałem pewności, czy mi uwierzył, ale niespecjalnie mnie to obeszło. Wiedziałem, że moje dni jako człowieka Salvatore są już policzone – przeze mnie. Wiadomość, że kolejna transakcja na pustyni miała się odbyć drugiego dnia stycznia, nie wzbudziła nawet wzdrygnięcia moich ramion.

Wróciłem do swojej szopy. Rick wyglądał już całkiem nieźle, odżył trochę, dzięki ciepłemu żarciu, które przynosiłem od znajomej kucharki, pracującej w małym pubie nieopodal "Rekina". Gotowała nawet dla samego Bishopa, więc po prostu nie mogło ono być złe. Przywitał mnie lekkim skinieniem głowy. Podąłem mu jet, który natychmiast zażył.

- Jesteś muchą w jego sieci, wiesz... - powiedziałem cicho.

- Wiem, Sammy – odrzekł Rick – i muszę coś z tym zrobić. Tylko jeszcze nie teraz... Jeszcze nie mam na to siły...

- Cieszę mnie te słowa.

Rick uśmiechnął się blado. To był odpowiedni moment. Przełknąłem ślinę, słysząc głośnie kołatanie własnego serca. Zrobiło mi się gorąco, choć dłonie miałem lodowate.

- Rick...

- Może się przejdziemy, Sammy? – wypalił nagle.

Przez moment zaniemówiłem, ale szybko opamiętałem się.

- Jasne, chodźmy. Chłodne powietrze dobrze ci zrobi.

Wyszliśmy na zewnątrz. Rześki, grudniowy wieczór, ostatnia noc roku, uderzyła w nas swym ziąbem. Szliśmy w milczeniu, które nie było dla nas ani trochę krępujące. Myślałem o swoim postanowieniu. Nie wiedziałem, do czego doprowadzi, ale nabierałem przekonania, że jest słuszne. Richard odezwał się dopiero po kilkunastu minutach.

- Wiesz, Sammy, ja mówiłem poważnie.

Spojrzałem na niego.

- No wiesz, o... zerwaniu z jetem. Stary, nie chcę tego jeszcze raz przeżywać.

- Nie wątpię. Ja również.

- Wiesz, każdego ranka muszę patrzeć na coś, co mnie brzydzi, czego nienawidzę. Na swoje odbicie w lustrze. Chcę, żeby to się zmieniło...

- Rozmowa z ojcem cię do tego skłoniła?

Rick skrzywił się lekko.

- Czy ja wiem?... Może trochę. Bardziej to, co działo się później. Naprawdę... nie życzę tego nikomu... Za daleko w to zabrnąłem – dodał po chwili z głębokim westchnieniem.

- Jak dla mnie jest okej, że masz tego świadomość. Możesz liczyć na moją pomoc.

Richard spojrzał na mnie.

- Dzięki, stary, jesteś prawdziwym kumplem.

- A prawdziwi kumple na zawsze pozostaną kumplami – uśmiechnąłem się. Wymieniliśmy uścisk dłoni. Do naszych uszu dobiegł czyjś głos. Podeszliśmy do podobnej komórki, w której mieszkaliśmy przez ostatnie parę dni. Zajrzeliśmy do środka przez wybitą szybę. Wysoki, czarny gość tańczył przed lustrem, wydzierając się w niebogłosy. W ręce trzymał nóż.

- To Jimmy J. – szepnął Richard.

- Co on wyprawia? – zapytałem, patrząc na dziwne ruchy dilerka z Second Street.

- Jest na haju, pojeb jeden...

Obaj spoglądaliśmy na naćpanego czarnoskórego dilerka, wykonującego jakieś dzikie pląsy. Nagle zatrzymał się i krzyknął:

- Ty, puszczaj moją kobietę! Mówię ci, oddaj po dobroci!... Szybciej, bo cię zadżgam!

Ruszył na wymagowanego wroga, tnąc nożem powietrze. Po chwili wykonał ruch, jakby przeciwnik chwycił i zgiął mu rękę, a dłoń, w której tkwił sztylet, niebezpiecznie zbliżyła się do twarzy. Naćpany J. mocował się z własnym ramieniem. Nagle, jakby nigdy nic, odwrócił się w stronę lustra i... przejechał ostrzem po twarzy. Nie mogłem uwierzyć w to, czego byłem świadkiem!

- O, kurwa!... – szepnął Rick, krzywiąc się z obrzydzenia. Mnie również zrobiło się niedobrze.

- Chodźmy stąd – powiedziałem.

- Racja... niech się potnie, głupi skurwieli.

Wyszliśmy na Second Street. Podeszedł do nas typowy uliczny nałogowiec.

- Panowie... - wydyszał, - panowie... zbieram... na jet... Nie kłamie, mówię szczerze, inaczej bym was obraził... Nie patrzcie się na mnie jak na wroga, nie jestem waszym wrogiem... Dosłownie brakuje mi... trzech... trzech, czterech

dolców...

Richard przerwał mu:

- Nie mam. Poza tym i tak nie dałbym ci na to gówno.

Żul podniósł ręce w przeproszającym geście.

- W porządku... w porządku... co złego to nie ja... ale... proszę, kup mi wodę...

Richard kazał mu poczekać. Weszliśmy do małej knajpy naprzeciwko, jakiś punkt schadzek renowskich meneli.

- Sammy... - rzekł Richard, klepiąc się po kieszeniach. – Nie masz piątaka? Chyba jestem bez grosza...

Zapłaciłem za wodę i wyszliśmy. Żul zaczął nam dziękować. Richard ponownie mu przerwał:

- Rzuć to świństwo...

Z ulgą i pewnym poczuciem dumy patrzyłem na tak nagle odnowionego Ricka. Wydawało się to aż niemożliwe, żeby po jednej tylko wpadce z prochami jego mentalność zmieniła się w tak znaczący sposób. Mimo to cieszyłem się. Pół godziny później sączyliśmy piwo w mojej pakamerze. Wtedy też zebrałem się w sobie.

- Richard, muszę ci coś wyznać.

Rick przeniósł na mnie wzrok.

- Wiesz... nie bez przyczyny wpadliśmy na siebie te parę miesięcy temu. Nie jestem tym, kim się wtedy przedstawiłem i za kogo mnie uważasz.

Richard milczał, spoglądając na mnie w nieznanym mi dotąd sposób. Westchnąłem i zebrałem się w sobie.

- Po pierwsze nie mam na imię Sammy – zacząłem. – Nazywam się Jason Taylor...

Tego wieczoru przyznałem się do wszystkiego. Opowiedziałem ze szczegółami o całej mojej pracy dla Salvatore, o zadaniu, jakie mi przydzielono, o motywach spotkania z Richardem, o cyklicznych raportach. Dosłownie – o wszystkim. Moja opowieść trwała prawie dwie godziny. Rick nie odezwał się ani słowem, nie przerwał mi nawet jeden raz.

Gdy skończyłem, Richard wciąż milczał. Podniosłem się i sięgnąłem na wysoko umieszczoną półkę, gdzie chowałem broń zabraną od Salvatore. Położyłem rewolwer na stoliku, tuż przed nosem Ricka.

- Możesz teraz zrobić ze mną, co uważasz za słuszne – powiedziałem, choć sam nie wiedziałem dlaczego.

Richard przez zmrużone oczy spoglądał na pistolet. Poprawił opaskę na czole. Odwróciłem od niego wzrok. Ciche pyknięcie i krótki syk oznajmiły, że zażył jet. Machnął głową, uniósł lekko brwi i westchnął.

- Dzięki, Sammy – powiedział po długiej chwili milczenia, wciąż wpatrując się w rewolwer.

Spojrzałem na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Naprawdę, dzięki – powtórzył.

Nie rozumiałem.

- To wymagało naprawdę dużej odwagi – powiedział Richard, przenosząc wzrok z broni na mnie. – Jestem pod wrażeniem... Człowiek Salvatore... hm... nieźle się kryłeś...

Wstrzymałem oddech.

- Daj spokój, przecież cię nie zastrzelę – uśmiechnął się, dostrzegając mój niepokój. Po jego oczach poznałem, że był to uśmiech szczery. – Od tej pory chyba już do nich nie należysz, nie?

- Nie masz żadnych pretensji? – zapytałem ochryplym głosem.
- Wiesz, pewnie mam jakiś żal, ale... przyjacielom wiele można wybaczyć.

Z jego twarzy nie zniknął uśmiech. Nie był to złośliwy uśmieszek, półgębkiem, jak miał to w zwyczaju choćby Mason. Pomału docierało do mnie, że Richard naprawdę mi wybaczył.

- Słuchaj, z tego, co mówisz wynika, że nie dowiedzieli się o nas aż tak wiele – powiedział. – W sumie to nawet nie mieli się czego dowiedzieć. Z tego, co mówił Ben przed świętami interes znacznie osłabł. Wszystko przez to – wskazał na pustą fiolkę po jecie. – Ale jedną rzeczą mnie zaciękawileś. To, co mówiłeś o tym barterze na pustyni... Może dałoby się coś z tym zrobić. Co sądzisz?

- Ale... co? Nie wiem, co masz na myśli.

Richard wyprostował się.

- Może... wykorzystamy ich plan przeciw nim samym. Mówisz, że ta broń strzela...

- Laserem – dokończyłem.

- No, właśnie... Cholera, aż trudno w to uwierzyć, nie? W każdym razie nie jest ich zbyt wielu, prawda? Mają za to dobrą broń. Z kolei Mordino jest jak psów, ale na stanie mają prawie same dzidy. Więc... jakby dało się ich jakoś sprowokować przeciw sobie, to oni by się powybijali, zamiast wciągać w to moją rodzinę?

- Z Salvatore raczej nie byłoby problemu – odrzekłem. – Wystarczy mój sygnał. Ale jak wyciągnąć Mordino z ich dziupli?

Richard zastanowił się.

- Już wiem – powiedział nagle, – nóż Jesusa! Przecież on jest dla niego jak amulet, jak jakiś skarb!

- Racja – powiedziałem i schyliłem się. Wyciągnąłem spod łóżka zniszczone pudełko, gdzie trzymałem maskotkę młodego Mordino.

- Rick, jesteś, kurwa, genialny!...

Richard pokiwał głową, spoglądając na sztylet z czerwoną rękojeścią.

- Ale co będzie ze mną? – moja euforia nagle opadła. – Jeśli Salvatore odkryje, że cała akcja wyszła ode mnie, szybko zorientuje się, że działałem przeciw niemu.

- Ukryjemy cię u mnie – odparł Richard. – Tam się nie zapuszczają, jest nas zbyt wielu.

- A co z resztą rodziny? Mogą nie być skłonni do tego pomysłu.

- Nie muszą o tym wiedzieć. Będziesz mieszkać z Benem, lubi cię i na pewno nie będzie widział w tym kłopotu. Problem może być jedynie z Chrisem... No cóż, trzeba coś wymyślić, żeby go przekonać.

Zacząłem gorączkowo szukać w głowie sposobu ugadania Chrisa Wrighta. Coś mi zaświtało.

- Kolejną transakcję Salvatore przeprowadzają pojutrze w nocy – powiedziałem powoli. – Wystarczyłoby, żeby był on tam z nami i przekonał się na własne oczy, co oni kombinują.

- Myślę, że to starczy – odrzekł Rick. – Sam chętnie to zobaczę...

Siedzieliśmy podminowani, raz za razem powtarzając sobie obmyślony plan działania. Po jakimś czasie zacząłem jednak myśleć o pozytywnej, ale wciąż dla mnie niezrozumiałej reakcji Richarda na całą moją spowiedź. Nie wytrzymałem i zapytałem go wreszcie:

- Rick, mówiłeś serio, że nie masz żadnych ansy?

- Spoko, Sammy – odrzekł, klepiąc mnie po ramieniu. – Masz u mnie duży plus. Gdybyś faktycznie spowodował wojnę gangów, wciągając w nią moją rodzinę, prawdopodobnie gadalibyśmy inaczej... Ale... miałyby być ona skutkiem mojego

zaćpania?... Hm, wtedy rozmowa mogłaby być utrudniona – roześmiał się. – Teraz jednak poczekamy aż młot opadnie, z tym, że nie na nas. I wszystko gra.

Nowy rok niósł jak na razie pozytywne perspektywy.

Gdy następnego dnia rano pojawiliśmy się na stacji, była tam pani Ethyl Wright, mama Richarda. Skoro tylko go zobaczyła, pobladła i usiadła na ławce. Chris za to powitał go w osobliwy sposób – zaczął nim trząść i wrzeszczeć:

- Co się, kurwa, z tobą działo?! Matka odchodzi od zmysłów, ojciec wyżywa się na wszystkich, Keith ciągle tu przyłazi, przecież wiesz jak mnie wkurwia! Co ty sobie myślisz?! Gdzie byłeś, do cholery?!

- Spokojnie, spokojnie – odrzekł Rick i wyrwał się z uścisku brata, - przecież nic złego mi się nie stało...

- I co z tego?! Ojciec rozkazał szukać cię po całym mieście! Myśli, że wpakowałeś się w kłopoty i możesz już leżeć w rynsztoku, oblewany przez ćpunów! Matka ma ciśnienie jak pędzący parowóz!...

- Christopher!... – powiedziała pani Wright słabym głosem. Richard podszedł do niej i, usiadłszy obok, przytulił ją. Po chwili jednak wstał i spojrzał na Chrisa.

- Nagle wszyscy zrobili się tacy opiekuńczy. Do tej pory jakoś mało was obchodziłem...

- Richard, ostrzegam cię, uważaj na słowa... - Chris pogroził mu.

- Wsadź sobie tego palca! – odszczeknął Richard. – Za kogo ty się uważasz?...

- Richie, słuchaj brata – przerwała mu pani Wright. – Naprawdę, bardzo się o ciebie martwił.

- Przepraszam, mam, nie chciałem sprawić ci przykrości. Wszystko ze mną w porządku. Udaliśmy się z Sammym, moim przyjacielem, na taką małą wycieczkę. Trochę spontanicznie, ale już wróciliśmy. Naprawdę wszystko jest okej – powtórzył.

Pani Wright spojrzała na mnie krótko. Ukłoniłem się, ale nie wiem, czy to dostrzegła.

- Richardzie, zaklinam cię – powiedziała, - informuj nas na przyszłość. Gdyby coś ci się stało... nie wiem, czy przeżyłabym to...

- Mam... - Rick ponownie usiadł i uściśnął matkę.

Kilka minut później pani Wright opuściła budynek, wcześniej wymuszając na Richardzie obietnicę, by "pojawił się w końcu w domu". Chris siedział za stołem naprzeciwko drzwi wejściowych i taksował brata spojrzeniem. W momencie zamknięcia drzwi za ich matką już nabral powietrza, żeby zapewne ponownie wygarnąć Rickowi, ale ten uprzedził go:

- Zanim znowu zaczniesz drzeć japę najpierw wysłuchaj tego, co my mamy do powiedzenia.

Zacząłem opowiadać historię, z którą zapoznałem Richarda, choć oczywiście pominąłem całą kwestię związaną z jetem. Podkoloryzowałem też nieco kilka wątków, żeby Chris już na starcie całkowicie nie stracił do mnie zaufania. Przedstawiliśmy też nasz plan na jutrzejszą noc. Christopher niewątpliwie był w szoku, ale był podobnie zaintrygowany co Richard poprzedniego wieczora.

- Zaufam ci, jeśli to, co mówisz okaże się prawdą. Wtedy udzielimy ci schronienia. Inaczej... – przejechał palcem po szyi.

- Dobra, dobra, nie świruj – zachnął się Richard. – Co myślisz o naszym planie? Idziesz z nami?

- Pójdę, ojciec może być tym zainteresowany – odparł Chris. – Chociaż...

- Co?

- Nie jesteśmy gotowi na wojnę. Jeszcze nie teraz.

- Broń?
Chris skinął głową.
- Przecież ojciec wysyłał kogoś, żeby sprawdził tę starą bazę.
- Pritchard. Tak, już wrócił. Stwierdził, że był tam i widział takie rzeczy, że... - machnął ręką. – No, ale zanim zdał relację ojcu poszedł się uchlać i... hm... i zapił się.
Richard prychnął z niedowierzaniem.
- Zapił się?... Na amen?
Chris rozłożył ręce.
- Także na razie nici z poważnej broni. Można jednak spróbować pognębić starego Salvatore. Ojciec ma do tego łeb, na pewno jakoś wykorzystałby taką wiedzę... Jeżeli jest to prawda...
- Jutro sam się przekonasz – odpowiedział Rick. – Sammy, w jaki sposób do tej pory odbywały się te wymiany?...

Wieczorem następnego dnia udaliśmy się na zachód miasta. Z ludźmi Salvatore zawsze bez strachu podążaliśmy tą samą, prostą jak ćpanie trasą – nikomu nie spieszo było opuszczać Reno, więc nigdy nie zdarzyło się, by ktoś udał się za nami. Teraz po raz pierwszy ekipa wiekowego gangstera miała być śledzona. Mało tego – przez ich człowieka.

Siedząc w jakiejś ruderze przy wylocie z miasta, w końcu ujrzałem ludzi Salvatore. Szli jak zawsze zwartą grupą z bronią w łapach, wszyscy dosłownie schodzili im z drogi. Prowadzili bramina ciągnącego na drewnianych paletach wysokie na półtora metra banie z jakimś świństwem. Ruszyliśmy za nimi, naturalnie zachowując bezpieczną odległość. Jasny punkt przed nami, czyli oświetlona karawana przestępców, wyznaczał nam cel wędrówki. Swoim zwyczajem spojrzałem za siebie – stąd Nowe Reno wyglądało pięknie. Bardzo lubiłem widok łuny zawieszanej nad miastem. Szliśmy w mroku po pustyni już bez mała dwie godziny, gdy nagle na horyzoncie pojawił się pionowy snop światła.

- Co to było? – zapytał Chris. W jego głosie słychać było wyraźną trwogę.
- To znak od kontrahentów – odrzekłem, w tym momencie światło znikło. – Zawsze spotykają się w innym miejscu, a to ich sygnał, dokąd mają się udać ludzie Salvatore.

Mini-karawana gangsterów skręciła w stronę miejsca, skąd dobiegła do nich wskazówka od rządowych handlarzy. Przyspieszyliśmy kroku. Po kilkunastu minutach naszych uszu dobiegły wystrzały z broni.

- Spokojnie – powiedziałem, widząc drżących Richarda i Chrisa, - to jeden z ludzi Salvatore. Zobaczcie, co teraz się stanie...

Wtedy mrok rozświetliły reflektory, ukazując widok, który już dobrze znałem. Bojąc się, że możemy zostać odkryci w poświecie, pociągnąłem Wrightów na niewielkie wzgórze po naszej lewej stronie. Dotarliśmy do miejsca, skąd dobrze widać było całą scenę – latającą maszynę, ludzi w potężnych kombinezonach i robota. Po chwili ludzie Salvatore podeszli wykrzykując hasło. Po krótkiej rozmowie rozpoczęła się wymiana.

Chris i Rick nie mogli uwierzyć w to, czego właśnie byli świadkami. Kręcili głowami z niedowierzania, obserwując przebieg transakcji bez jednego słowa. Po ponad godzinie barter dobiegał końca. Latająca maszyna wystartowała, wzbijając chmurę kurzu. Po chwili zauważyliśmy, jak Mason i jego towarzysze przypatrują się nowo nabytej broni, tkwiącej jeszcze w skrzyniach. Śmiali się i gadali rozluźnieni. Postanowili ją wypróbować. Wtedy okazało się, że to ja nie jestem gotowy na widok,

który zobaczę. Po raz pierwszy bowiem ujrzałem w akcji nie pistolet, ale najprawdziwszy karabin laserowy.

- O, cholera... - szepnąłem.

- Co jest? – zapytał Richard.

- Zmieniłem przedmiot handlu. Przerzucili się na większy kaliber. Zwijajmy się – dodałem po chwili.

Zaczelismy najciszej jak się dało schodzić z górki. Nagle Chris potknął się i upadł. Z jego ust wyrwało się przekleństwo. Zamarłem. Usłyszałem, jak rozmowa gangsterów nagle urwała się. Po chwili dobiegł nas przytłumiony odgłos kroków. Ruszyliśmy przed siebie, co sił w nogach. Usłyszeliśmy krzyki, a po chwili strzały, instynktownie pochyliliśmy głowę. Wiedziałem, że ludzie Salvatore nie podążają za nami – musieli przecież dotransportować broń do Reno. My jednak biegliśmy co sił w nogach ku widniejącej w oddali łunie miasta, mając w podświadomości potęgę, jaką dysponują. Zatrzymaliśmy się zdyszani dopiero jakieś dwadzieścia minut później. Spojrzeliśmy za siebie – niewielki jasny punkt stale tkwiący w miejscu, dał nam znak, że ludzie Salvatore jeszcze nie wyruszyli.

- No... - wydyszał Richard, - rekonesans mamy za sobą...

- Zauważyli nas – powiedział Chris. – Kurwa! A jeśli nas rozpoznają?

- Wątpię – odrzekłem. – Było ciemno, nic nie widzieli. Wiedzą jednak, że ktoś tam był i że musiał być to ktoś, kto wiedział o ich sekretnych transakcjach.

- Myślisz o sobie? – zapytał Rick.

Kiwnąłem głową, co w mroku było milczącą zgodą. Szliśmy w ciszy równym, ale szybkim tempem.

- Muszę to sprawdzić – powiedziałem. – Jeśli nie będą mnie podejrzewać, warto, żeby ciągle mieć wtykę u Salvatore.

- Ale... - zaczął Richard, urwał jednak. Wiedział, że mam rację, a ja wiedziałem, że jeszcze przynajmniej raz zmuszony będę do wizyty u starego gangstera.

- Nie musisz – powiedział Chris, - zapewnimy ci ochronę.

- Dzięki, Chris, ale tak czy owak zaryzykuję – odrzekłem. – Teraz chcę dla was jak najlepiej.

Po minucie usłyszałem głos Ricka:

- Kurwa, bądź ostrożny, Sammy...

Następne spotkanie z Salvatore miałem umówione dopiero za trzy dni. Do tej pory siedziałem na stacji Wrightów. Gadaliśmy z Richardem i Chrisem o tym, czego byliśmy świadkami. Zakup nowej broni przez Salvatore nawet dla mnie był zaskoczeniem, co nie napawało moich druhów optymizmem. Chris postanowił, że po moim wybadaniu sprawy z gangsterami z Second Street zdecyduje czy oraz ewentualnie jak i kiedy poinformować Orville'a Wrighta. Sprawa była bowiem poważna, ale jednocześnie dość delikatna. Szybko domyśliłem się, że chodzi o mnie. W końcu ich ojciec mógł nie być zachwycony byłym szpiegiem, odtąd nawróconym, ale do niedawna inwigilującym jego rodzinę.

Richard natomiast postanowił definitywnie zerwać z jetem. Przez te kilka dni jeszcze okazjonalnie brał, ale zauważyłem w nim przemożną chęć uwolnienia się od nałogu. Moje zapasy narkotyku skurczyły się do zera, więc poniekąd był zmuszony znacznie ograniczyć przyjmowanie dawek. Wiedziałem jednak jak bardzo się z tym męczył – były momenty, że tak silnie zagryzał zęby, że dosłownie zdierał z nich osłabione szkliwo, drapał się po całym ciele jak opętany. To były tortury, ale starał się im podołać.

Nadszedł dzień wizyty u Salvatore. Udałem się tam wczesnym popołudniem na nogach z waty, ale po pierwszej rozmowie z Masonem odniosłem wrażenie, że nie podejrzewają mnie o szpiegostwo na ich niekorzyść. Salvatore natomiast przedstawił sprawę rozwiązania mojego zadania w sposób czytelny:

- Jesteśmy przygotowani, Jasonie. Atak musi nastąpić w ciągu tygodnia. Bishop ponownie wyjechał z miasta, zabierając ze sobą większość swojego wojska. To najlepszy moment, żeby ich wszystkich wyłuc. Powtarzam ci – atak... w ciągu tygodnia...

Zaniósł się kaszlem.

- Tak jest, panie Salvatore... - odparłem beznamiętnie, zatopiony we własnych myślach.

- Mamy nową broń, pewnie o tym wiesz.

Automatycznie kiwnąłem głową.

- Opracowałem nowy plan – mówił dalej, - gdy... Mordino i Wrightowie będą walczyć, my wkroczymy i... dobijemy ich... Upieczemy ich... jak to się mówi?... na jednym ogniu... wiesz, o co mi chodzi...

- Tak, panie Salvatore.

- Mason przekaze ci wszystkie szczegóły... Teraz wyjdź i przyślij go do mnie...

Wstałem i ukloniłem się. Na polecenie Masona czekałem na zewnątrz, gdy ten wraz z swym szefem rozmawiał cicho w apartamencie bandyty. Po kilku minutach Mason opuścił pokój Salvatore.

- Wszystko wiesz, Taylor? – zapytał.

Skinąłem głową.

- A więc czekamy na twój sygnał. Pan Salvatore wymyślił hasło, na jakie automatycznie ruszamy do akcji: "jet jest martwy". Zapamiętasz?

Ponownie przytaknąłem.

- Ach, i jeśli potrzebujesz jeszcze jetu, odwiedź Renesco. Możesz odejść.

Opuściłem bar Salvatore i już skierowałem się w stronę Wschodniej Dzielnicy, gdy coś mnie tchnęło i zawróciłem. Pomyślałem, że Renesco może wyśpiewać Masonowi, że nie pojawiłem się u niego. To mogło wzbudzić poważne podejrzenia. Udałem się więc do meliny "Rakieciarza". Głupie przezwisko... Ćpuny zaopatrujący się u niego zwłaszcza w jet, nadali mu taką ksywę, obracał bowiem niezliczona ilość tego "odlotowego" świństwa. Nie znosiłem go, ale nie miałem wyjścia i musiałem złożyć mu wizytę.

Kiedy tylko wszedłem do środka uderzył mnie smród gotowanych prochów. Dobrze znałem ten zapach, Renesco musiał tutaj "doprawiać" narkotyki, czyli po prostu je rozwadniać, by otrzymywać jak największą ilość. Po mieście wśród dilerów krążyła fama, że z jednego jetu może wykonać nawet trzy i dlatego sprzedaje je za grosze – sam poniekąd byłem dilerem, stąd byłem w posiadaniu takiej wiedzy. Ale nawet rozrzedzony jet był i tak cholernie wciągający. Przez moment nawet zastanowiło mnie to, dlaczego Mason kazał mi przyjść tutaj, przecież wiedział, że Renesco sprzedaje gówna. Doszedłem jednak do wniosku, że komu jak komu, ale człowiekowi Salvatore nie wciśnie byle czego.

Podszedłem do lady, jeśli można tak nazwać kilka desek zbitych w improwizowany kontuar, i zawołałem go. Wyszedł zza parawanu, za którym zapewne eksperymentował z prochami, w zniszczonym, brudnym fartuchu i stałą niechęcią wypisaną na twarzy.

- Czego? – warknął.

- Może grzeczniej? – odpowiedziałem niewiele uprzejmiej. – Pan Salvatore przysłał mnie po jet.

- Tak?... – zdziwił się Renesco. – To znaczy – już?
- Co?
- No... mam gotowy tylko jeden. Miały być cztery.
- Dobra, dobra, dawaj ten jeden – nie wiedziałem, o czym mówi, ale odór unoszący się w powietrzu sprawił, że zaczynało mnie mdlić.
Renesco podał mi jet.
- To wszystko? – zapytałem.
- Wszystko – odparł i zmierzył mnie wzrokiem. – Po co wam?... A z resztą... - machnął ręką i udał się z powrotem za zatęchłą, zgniłozieloną kotarę. Schowałem narkotyk do kieszeni i wyszedłem.

Wstąpiłem do swojej pakamery i rzuciłem jet gdzieś między śmieci. "To już nam się nie przyda", pomyślałem. Nie minął kwadrans, a już gadałem z Chrisem i Rickiem na starej stacji we Wschodniej Dzielnicy. Po wysłuchaniu mnie Chris wstał z miejsca i zaczął okrażać swój gabinet.

- Wedle tego, co mówisz, najlepiej byłoby wprowadzić wasz plan w życie właśnie teraz – powiedział, drapiąc się po brodzie.

- Też tak myślę – dodał Richard, - skoro nie ma Bishopa, Mordino i Salvatore mogą wytluc się nawzajem. Później można by nawet pomyśleć, żeby zadziałać coś z nimi.

- Wasz ojciec już wie? – zapytałem.

- Na razie nie musi – odparł Chris. – To wojna gangów z Virgin Street, my się nie wtrącamy.

- Hehe, wreszcie zaczyna gadać jak człowiek – powiedział Rick z uśmiechem.

- Poza tym ojciec jest teraz w dość marnym stanie i nie wiem, czy coś by do niego dotarło.

- Co się stało? – zapytałem.

- Aaa... - Rick wzruszył ramionami. – Takie tam... małżeńskie sprawy. Wściekł się na mamę, sam nie wiem o co. Leży na wyrku albo łązi i krzyczy ciągle: "małżeństwo to dożywotni wyrok". Szkoda gadać.

Uśmiechnąłem się. Chris usiadł za biurkiem i popatrzył na nas poważnie.

- Jesteście w stanie to zrobić? Tę całą prowokację?

Spojrzelśmy po sobie z Richardem. Było pewne, że pomyśleliśmy o tym samym – o naszej akcji pod klubem Mordino.

- O to nie musisz się martwić – powiedział Rick.

- Bądźcie ostrożni – zakończył jego brat.

Udaliśmy się do mojej komórki po nóż Małego Jezusa. Rozejrzałem się wokoło.

- Wiesz, nie będzie mi brakować tej nory – powiedziałem. – Ani trochę.

Richard kiwnął głową. Nagle schylił się po coś. Po chwili wyprostował się, w jego dłoni tkwił jet od Renesco, który zostawiłem tu dwie godziny wcześniej. Spojrzałem na niego z niepokojem. Rick przez moment patrzył się na narkotyk jakby wyłączył myślenie, lecz po chwili opamiętał się. Oddał mi ampułkę.

- Powinieneś to wywalić – szepnął.

Rzuciłem jet na podłogę, ten poturlał się pod łóżko.

- I tak więcej tu nie wrócimy – odrzekłem.

Rick przytaknął. Opuściwszy pakamerę, wyrzuciłem klucze doń daleko za siebie, gdzieś w przepastny mrok zapomnianej dzielnicy Nowego Reno. Richard westchnął.

- Czuję, że czeka mnie ciężka walka.

- Damy radę – klepnałem go po ramieniu.
- Damy? – Rick spojrzał na mnie żałośnie.
- O tak, będziemy próbować. Teraz mi się nie rozczulaj. Mamy zadanie do wykonania.

- Sammy, musimy to zrobić jutro. Czuję, że zaczynam być na głodzie. Później mogę stać się nie do życia.

- Okej, zrobimy to jutro. Wierzę w ciebie Rick – dodałem po chwili. – Nie zawieź mnie.

Richard westchnął, ale zupełnie inaczej niż kilka minut wcześniej. Usłyszałem ulgę i determinację.

- Kurwa, życie jest ciężkie... Ale musi trwać... Jak show, nie? Bez względu na wszystko. Nawet na jet.

Wsluchałem się w miarowy odgłos naszych kroków, przyozdobiony charakterystycznym szuraniem Ricka, który wypełnił otaczającą nas głuchą ciszę. Richard zaś powtarzał cicho:

- Show musi trwać...

Przez kolejne godziny dopracowywaliśmy nasz plan, który ułożyliśmy kilka dni wcześniej. To, co zamierzaliśmy zrobić, mogło zmienić dotychczasowy obraz nie tylko całego mojego życia, ale nawet życia ludzi w Reno. Wiedziałem, że nie będzie łatwo, ale ufałem, że będzie dobrze. Musiało tak być. Krótkiej drzemki, na jaką udaliśmy się od około drugiej w nocy, praktycznie nie odczułem, ale nie byłem zmęczony. Adrenalina już zaczynała pulsować mi w żyłach. Czas przystąpić do działania.

O szóstej rano, jak to zimą, na zewnątrz wciąż panowała noc. Obudziłem Richarda. Po chwili był już gotów – widziałem, że jest równie podekscytowany jak ja. Udaliśmy się pod kasyno Mordino. W ręce trzymałem list do Małego Jesusa, który napisaliśmy poprzedniego wieczora. Poinformowaliśmy go dokąd i w jakim czasie ma się udać, żeby odzyskać swój nóż. Zastrzeżyliśmy też, żeby nie próbował wysłać na miejsce nikogo wcześniej, w przeciwnym razie nie odzyska broni. No i oczywiście, że ma być sam, co było kluczem do zwabienia jak największej liczby ludzi Mordino. Owinęliśmy papier wokół cegły kawałkiem sznurka i Richard cisnął nim w jedno z okien klubu. Brzęk tłuczonego szkła rozdarł ciszę nocy. Zanim któryś z goryli Mordino zdołał wybiec z kasyna, nas już nie było.

Po tym pobiegliśmy na Second Street. W połowie drogi między "Rekinem" a knajpą Salvatore, ułożyliśmy kupkę cegieł. To tutaj będzie za kilka godzin leżeć nóż Jesusa i rozegra się cała akcja. Kilku leżących pod murem pijaków i ćpunów obserwowało nasze pospieszne ruchy przez osłonięte pijacko-narkotyczną mgiełką, przekrwione oczy.

- Nie słyszysz mojego wołania? – krzyknął nagle jeden z nich w naszym kierunku. – Bura suko... Nie słyszysz jak cię przywołuję?...

- Nie drzyj papy, moczymordo – odrzekł mu siedzący tuż obok kompan. – Już dawno wywaliła cię z chałupy... Za twoje chlanie!...

Czknął potężnie.

- Milcz!... Milcz, jak do mnie mówisz... Wszystko, co słyszę z twojej przepitej gęby to tylko "gu-gu" i "ga-ga"...

- Gdybym tylko miał siłę, wybiłbym ci ostatnie dwa zęby, jakie ci pozostały...

Czas przyspieszył. Punkt kulminacyjny zbliżał się coraz bardziej.

Punktualnie w południe udaliśmy się w okolice Second Street. Mimo że do

rozpoczęcia operacji pozostały jeszcze cztery godziny, zza kasyna Bishopa zaczęliśmy obserwację miejsca, w którym miała zostać przeprowadzona. Co ciekawe nie zauważyliśmy, żeby kręcił się w pobliżu jakiś napakowany goryl Mordino. Najwyraźniej Mały Jesus wziął sobie do serca słowa z listu, a być może bardzo zależało mu na tym nożu. W każdym razie ułatwiał nam zadanie.

Jakieś pół godziny przed czwartą zauważyłem, że z knajpy Salvatore wychodzi Mason z jeszcze jednym człowiekiem. Skierowali się w stronę dzielnicy handlowej.

- Rick, pójde ich sprawdzić. Za dziesięć minut umieść nóż na ceglach i wróć tutaj. Ja będę przy knajpie Salvatore. Na twój sygnał zaczynamy.

Richard skinął głową. Obiegnęłam spelunę Salvatore od tyłu i pobiegłam w stronę meliny Renesco. Poczuję intensywny smród gotowanych narkotyków – miałem szczęście, że nie zamykał okna. I miałem też nosa, bo ludzie Salvatore udali się właśnie do niego. Skulony pod parapetem usłyszałem ich rozmowę z "Rakieciarzem".

- ...był, był – mówił Renesco, – tego samego dnia, gdy zleciliście mi wykonać ten zatruty jet.

Zamarłem w bezruchu.

- Ile sztuk wziął? – usłyszałem Masona.

- Tylko tę jedną, którą zdążyłem przygotować...

- Kurwa! Salvatore miał rację... I nie zjawił się po więcej?

- Nie.

Mason zaklął ponownie.

- Proszę, oto pozostałe trzy – rzekł Renesco.

- W dupę je sobie wsadź! – Mason chyba trzepnął narkotykami o ścianę.

- Ale.. ale...

Nie słuchałem już więcej. Nie zważając na nic pobiegłam w stronę knajpy Salvatore. "Rick, obyś tylko zdążył!", myślałam gorączkowo. Jeśli Mason powie o tym, co usłyszałem swojemu szefowi, wszystko przepadnie. Po chwili byłem już na rogu Second Street. Richard szybko wracał chodnikiem tuż przy "Rekinie". Zauważył mnie. Machnąłem ręką, żeby się pospieszył. Odwróciłem się, zauważyłem w oddali sylwetkę Masona i jego towarzysza, opuszczających melinę Renesco. Spojrzałem na Ricka – czekał już bezpiecznie za kasynem Bishopa.

Teraz!

Wyciągnąłem pistolet, który na wszelki wypadek zabrałem ze sobą, i wpadłem do baru Salvatore.

- Jet jest martwy! Jet jest martwy na Second! – wrzasnąłem.

Wybiegłem z baru i oddałem dwa strzały w kierunku zbliżających się ludzi Salvatore. Mason i jego towarzysz odruchowo pochylili się. Wbiegłem między budynki. Usłyszałem rumor wybiegających z knajpy żołnierzy Salvatore. Ruszyli całą zgrają w górę ulicy. Obejrzałem się do tyłu. Zauważyłem Masona, który z laserowym pistoletem w łapie podąża za swoimi kompanami. Krzyczał coś, ale pozostali nie słyszeli go i wrzeszcząc spieszyli przed siebie. Pobiegłem w stronę miejsca, gdzie Rick miał zostawić nóż Jesusa. Wyjrzałem zza węgła. Nóż leżał na ceglach. Zauważyłem zbliżających się ludzi Mordino z Małym Jesusem na czele, z drugiej strony nadciągali ludzie Salvatore. Schowałem się za ruderami. Pijaki i ćpuny na widok zbliżających się gangsterów znaleźli siłę, by podnieść dupy z chodnika i uciekać gdzie pieprz rośnie. Adrenalina tętniła mi w uszach. Zaraz się zacnie...

Nagle kroki z lewej i prawej strony ucichły. Usłyszałem zbrojenie pistoletów. Po chwili moich uszu dobiegł głos Małego Jesusa.

- Mason! Wiedziałem, że to wasza sprawka! Oddawaj mi nóż, a nic się wam nie

stanie!

- O czym ty, kurwa, mówisz, Mordino?! – krzyknął Mason. Też nie wiedziałem, czyżby Jesus zapomniał, kto mu wtedy spuścił łomot?

- Nie mam czasu na małe figle! Oddaj nóż i rozejdźmy się w spokoju do domów!

- O czym on bredzi, do kurwy nędzy? – Mason chyba zapytał jednego ze swoich ludzi. – Nie chcemy żadnych wojen! To prowokacja!

- Nie ogłupisz mnie! – wrzasnął Jesus. – Widzę mój nóż! Oddaj go!

Mason podszedł do kupki cegieł i schylił się.

- Chodzi ci o to? Bierz!

Mason zamachnął się i rzucił nóż w kierunku ludzi Mordino. Usłyszałem wrzask. Chyba któryś z nich dostał nożem Jesusa.

- O nie! Rozjebaliście moje kasyno, teraz – my was wyruchamy!

Rozległy się strzały. Zatkąłem uszy, bo rumor wymieszanych okrzyków i huków wystrzałów był ogromny. Obserwowałem lecące z lewej do prawej promienie światła, dziwne, przerażające ludzkie odgłosy dobiegały moich uszu. Śmiercionośna broń ludzi Salvatore zbierała swoje żniwo. Przez moment byłem sparaliżowany przez strach, siedziałem w totalnym bezruchu, z otwartymi ustami obserwując przebieg wydarzeń. Strzały jakby ucichły, lecz powróciły na nowo, wydawało się, że zdwojoną mocą. Po raz pierwszy przez głowę przemknęła mi myśl, że chyba przesadziliśmy. Po minucie, która trwała zdumiewająco długo, usłyszałem głos Masona:

- Dostyc tego! Spierdalamy! Bierzcie Ala i Robbiego!

Usłyszałem odgłos kroków. Po chwili dochodziły mnie już tylko jęki rannych i konających ludzi Mordino. Odważyłem się wstać. Na drżących nogach podszedł na lewy skraj budynku, zza którego obserwowałem wymianę ognia. Nie byłem przygotowany na widok, który ujrzałem. Leżące wokół ludzkie ciała tworzyły najbardziej ohydny obrazek, jaki kiedykolwiek zobaczyłem – dziury w brzuchach, przez które wnętrzości wylewały się wprost na asfalt, pucinanane kończyny, głowy oddzielone od ciał, a nawet przepołowione w pasie tułowia. To wszystko sprawiło, że nie wytrzymałem i puściłem pawia. Smród nie pozwalał mi oddychać, było mi duszno. Nie mogłem patrzeć na kilkudziesięciu umierających, już bezbronych ludzi. Zanim uciekłem rozejrzałem się szybko wokół. Zauważyłem, że wielu ludzi Bishopa również ucierpiało w tym starciu. Najwyraźniej Mordino, widząc potęgę ludzi Salvatore, próbowało ukryć się w klubie "Rekin". No ale Bishopowie nie mogli stać i patrzeć beczynnie, jak obca rodzina szturmuje ich siedzibę. Zapewne pomyśleli, że to atak na nich, ale gdy wybiegli na zewnątrz... natrafili na lasery Salvatore. Czułem, że znowu robi mi się niedobrze. Zawróciłem i wbiegłem między budynki.

Sam nie wiem, jak dotarłem do bladego jak ściana Richarda.

- Spieprzajmy stąd – wydyszałem. – Nie chcę jako następny gryźć piachu...

Po kilku minutach wpadliśmy na stację. Chris powstał na nasz widok.

- O nic nie pytaj – powiedział Richard. – Daj nam wody... albo nie – przynieś trochę whisky...

Chris bez słowa opuścił pokój drzwiami po prawej. Wymieniliśmy z Rickiem spojrzenia. W jego oczach wciąż dominowały strach i obrzydzenie, ale również pewne poczucie dumy. Podejrzewam, że w moich wyczytał podobne uczucia, bo powiedział:

- Kurwa, Sammy...

- Wiem, Rick...

- Mały Jesus?...

- Nie dojrzałem go. Nóż znikł, może mu się udało...

Oddychaliśmy ciężko, czekając na ulgę w postaci alkoholu.

- Wiesz, co?... – zaczął Rick, poprawiając mokrą opaskę na czole.

- No?

- Jesteśmy mistrzami...

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Wrócił Chris, który wręczył nam butelkę i opuścił stację. Wrócił po dwudziestu minutach blady, spocony i przerażony. Do końca wieczoru nie odezwał się ani słowem.

"Masakra." Taką nazwę zyskało to wydarzenie, które na zawsze zapisało się w annałach historii Nowego Reno. Krwawa wojna gangów, której widmo ciążyło nad miastem od długiego czasu, zakończyła się zanim tak naprawdę zdążyła się rozpocząć. Ludzie byli przerażeni. Ćpuny, pijaki, prostytutki, dilerzy, alfonsi – wszyscy znikli z Virgin i Second Street. Jeśli wierzyć plotkom Mordino stracili niemal trzy czwarte swojej renowskiej armii. Z kilkunastoosobowej garstki ludzi Bishopsa, których gangster oddelegował do ochrony kasyna, przy życiu zostało pięciu, z czego dwóch z poważnymi obrażeniami. Przywódcy obu rodzin liczyli ogromne straty i prawdopodobnie byli zajeżdżeni wściekłości. A Salvatore – jeden trup i jeden ranny. Ha...

Szybko dotarło do mnie, co stary Louis planował względem mnie, Richarda i całej rodziny Wrightów. Chciał przyspieszyć wykonanie planu, bo zorientował się, że zacząłem działać przeciw niemu. Musiałem chyba popełnić jakąś gafę podczas rozmowy z nim. Moja wizyta u Renesco miała dać mu pewność. Ale dała mu ją "Masakra"... Całe szczęście mieliśmy z Richardem trzy ogromne farty: pierwszy, że akurat tego dnia Mason udał się do Renesco w celu egzekucji zlecenia. Drugim darem losu było to, że "Rakieciarz" zdążył wykonać tylko jedną ampułkę zatrutego jetu. Za trzeci ja dziękowałem Rickowi, a on mnie – za to, że postanowił zerwać z nałogiem właśnie teraz.

Następnego dnia po raz pierwszy widziałem Richarda na takim głodzie. Nie wiedział zupełnie, co ze sobą zrobić. Ja również nie miałem pojęcia. Potrafiłem go uratować, kiedy przedawkował, ale nie umiałem mu pomóc, gdy był trzeźwy. Tak daleko w to zabrnął... Prawdziwa wojna dopiero się zaczęła.

Następne tygodnie były chyba najgorszymi w moim życiu. Zmagałem się z Richardem, który po prostu wychodził z siebie. Nałóg całkowicie opanował go właśnie wtedy, gdy nie brał. Noce spędzałem na pilnowaniu, żeby nie wymknął się po prochy. Za dnia próbowałem wmusić w niego jedzenie. Był wychudzony, blady jak kreda, włosy wypadły mu garściami. Niedługo miał skończyć dwadzieścia lat, a wyglądał na czterdzieści, do tego jakby nic nie robił w życiu poza ćpaniem. Gadał od rzeczy, całe szczęście, że był osłabiony, inaczej wszyscy Wrightowie dowiedzieliby się o jego stanie. Próbowałem wymuszać na mnie krzykiem dostarczenie mu jetu, jednak jego głos był tak mizerny, że ledwie wydobywał mu się z gardła. Ben udostępnił mi do mieszkania swój barak nieopodal stacji – tam kurowałem Richarda. Odtruwałem go przez równe trzy tygodnie. Byłem wykończony, byłem wrakiem człowieka, jednak nie większym niż mój przyjaciel.

W ostatnim tygodniu stycznia Richard wreszcie przestał odczuwać permanentny głód. Miał jeszcze swego rodzaju "zrywy" – biegał wtedy po pokoju, rzucając tym, co mu wpadło w ręce i drapiąc się po torsie. Nie raz i nie dwa dostałem kawałkiem żelastwa, którego Ben miał tu od diabła. Ale stawało się to coraz radsze. Zaczęliśmy rozmawiać, w końcu na temat. Opowiadałem mu, czego dowiadywałem się, gdy leżał nieprzytomny. Wyznacznikiem naszej przyjaźni było to, że nie było nam głupio, gdy rozmowa schodziła na kwestię jego walki z uzależnieniem. Widziałem w jego oczach

wdzięczność zmieszana ze zmęczeniem. Odetchnąłem z ulgą i porządnie wyspałem się dopiero w miesiąc po starcie odwyku. Richard był praktycznie wolny.

Nadszedł luty, powoli szła wiosna. Ludzie ponownie wysypali się na Virgin Street, wciąż rozmawiając prawie wyłącznie o wydarzeniach sprzed miesiąca. Pewnego dnia udaliśmy się z Rickiem na spacer, pierwszy od dnia "Masakry". Obserwowałem go ukradkiem, gdy patrzył z niechęcią na ćpających, młodych i starych, biednych i... jeszcze biedniejszych mieszkańców Nowego Reno. Szliśmy spokojnie, rozmawiając i ciesząc się coraz przyjemniejszą aurą.

Jednak po Reno nie dało się tak beztrudnie spacerować. Nieco nieroztropnie przeszliśmy tuż obok kasyna "Desperados". Tak się złożyło, że Mały Jesus akurat z niego wychodził. Krzyknął coś i ruszył w naszą stronę. Nóż z czerwoną rękojeścią błyskawicznie znalazł się w jego dłoni. Z kasyna wybiegło kilku goryli. Pociągnąłem Richarda i wbiegliśmy między budynki. Szukałem miejsca, w którym mogliśmy się ukryć. Nagle Rick krzyknął:

- Sammy, twoja stara komórka!

Strzeliłem kopniakiem w drzwi, które otworzyły się na oścież. Wbiegliśmy do środka, zamykając je ostrożnie. Nasłuchiwałem, czy ludzie Mordino zbliżają się, ale nikogo nie było już słychać. Po kilku minutach powiedziałem:

- Dobra jest, Rick, możemy wracać.

Udaliśmy się w kierunku Wschodniej Dzielnicy. Grupka dzieciaków bawiła się przed wejściem do posesji rodziny Wrightów. Jeden z nich podbiegł do Richarda, który chwycił go i chciał unieść, ale brakło mu sił. Rick kucnął przed młodszym bratem.

- Cześć, McDuffie! W co się bawicie?

- Cześć, Richie! W bitwę na pustyni! Strzelamy do wielkiej latającej muchy! A wiesz, Richie, że tata woła cię do siebie?

- Naprawdę? – Richard wyprostował się. – Ciekawe, czego chce?

- Idź i sprawdź, przecież cię nie zbije – uśmiechnąłem się.

Weszliśmy do domu Wrightów. Tutaj zawsze było mnóstwo ludzi, a ciągła krzątania i nieustanny ruch przyprawić mogły o zawrót głowy. Richard zaprowadził mnie do swojego pokoju i poprosił, żebym na niego zaczekał. Wrócił po prawie pół godziny. Minę miał nietęgą.

- Co jest?

- Nie uwierzysz – usiadł ciężko na kanapie i westchnął. – Ojciec chce mnie jako swojego następcę. Chce, żebym poprowadził dalej bimbrownię, oczywiście bez wiedzy matuli... Generalnie mam zostać głową rodziny... Hm, myślałem, że Keith obejmie po nim schedę...

Przyjąłem to spokojnie.

- Czy to źle? – zapytałem. – Przecież to zaszczyt...

- Co ty gadasz, Sammy... Czemu tak późno się obudził? Do tej pory mnie ignorował. No... może nie ignorował, ale prawie w ogóle nie słuchał. Pierdolę, nie chcę takiej łaski.

- Rick, o czym ty mówisz?! – wstałem z kanapy. – Sam mówiłeś, że twój brat lepiej się do tego nadaje, a jednak to ty w oczach ojca jesteś najlepszy! O co ci chodzi? Pomyśl trochę...

Richard zamilkł. Odwróciłem się w stronę okna. Nagle do moich uszu dobiegł ten charakterystyczny znajomy odgłos, którego nie słyszałem od wielu dni – ciche pyknięcie i krótki syk... Szybko spojrzałem na Ricka – trzymał w dłoni pustą ampułkę po jecie.

- Rick, do ciężkiej cholery!!! – wrzasnąłem, wytrącając mu fiolkę, która potoczyła się pod szafkę naprzeciw kanapy. Widziałem, jak jego źrenice robią się wielkie jak przedwojenne ćwierćdolarówki.

- Kurwa, Rick, coś ty narobił!

- Spokojnie, Sammy...

- Jak spokojnie?! Jak mam być spokojny?! Obiecałeś mi, do diabła!

- Sammy...

- Skąd to miałeś?!

- Oj, czy to ważne? Nie krzycz tak, bo zaraz wszyscy się zlecą...

Nie mogłem wytrzymać z wściekłości. Zacząłem niemal biegać po pokoju.

- Wyjdźmy stąd... duszno mi – powiedział Richard. Podszedł do okna, otworzył je i wyskoczył przez nie na trawnik. Podążyłem za nim. Przeskoczyliśmy niewysoki płotek i szliśmy milczeniu.

- Rick... ja pierdolę... - odezwałem się w końcu, ale nie potrafiłem znaleźć słów.

– Zawiodłeś mnie... no, cholernie mnie zawiodłeś.

- Przepraszam, Sammy... po prostu... nie mogłem się... - nagle przystanął, zgiął się wpół i złapał za klatkę piersiową w okolicy serca.

- Rick? Rick, co ci jest?! – schyliłem się do niego.

- Nie wiem... dziwnie się czuję – jego głos był bardzo słaby. Uniosłem mu twarz – na czoło wystąpił mu pot, białka oczu załała fala czerwieni.

- Kurwa, Rick, coś ty... - nagle mnie oświeciło. – Skąd wzięłeś ten jet?!

- Znalazłem... w twojej... komórce – Richard zaczął się krztusić i upadł. Wpadłem w panikę.

- Richard, ja pierdolę! – złapałem się za głowę, patrząc bezsilnie na wijącego się w agonii przyjaciela. – Rick, to była pułapka! On był zatruty!

- Sammy... Sammy... - jego oddech stawał się coraz płytszy.

- Richard! – trząsałem nim jak w dniu, gdy przedawkował, próbowałem coś zrobić, ale nie wiedziałem co. Nie mogłem! Nie było metody na truciznę... Łzy same skapywały mi z oczu.

- Sam-... -my... - wydyszał Richard i znieruchomiał.

Jeszcze przez dobry kwadrans próbowałem wszelkimi sposobami przywrócić go do życia. Bezskutecznie. Siedziałem na ziemi gdzieś między obskurnymi budynkami Nowego Reno i wylem jak pierdolony, zбитy pies. Ryczałem z bezsilności i rozpacz, ściskając zimną rękę mojego przyjaciela, i chciałem umrzeć. Umrzeć tak jak on!...

Wreszcie przyszła do mnie myśl, że muszę odstawić go do domu. Ale jak? Zapukać i pokazać rodzicom martwego syna? Kurwa!!! Zawlokłem ciało Richarda pod stację Chrisa i oparłem o ścianę. Przechylił się lekko na prawą stronę, głowa mu opadła, wyglądał jakby spał. Zdjąłem mu jego ulubioną opaskę z głowy i po raz ostatni popatrzyłem na niego. Nie potrafiłem powstrzymać kolejnej fali łez. Zapukałem do drzwi i czym prędzej zwałem. Jak tchórz, jak zabójca... Zupełnie nie jak przyjaciel...

Niewiele więcej pamiętam z tamtego wieczoru. Później dowiedziałem się, że lekarz Wrightów orzekł przedawkowanie narkotyku, najprawdopodobniej jetu. Orville Wright naturalnie zaczął oskarżać wszystkich o celowe naszprycowanie prochami jego syna – od Julesa i Jimmy'ego począwszy, na Małym Jesusie i Renesco skończywszy. Nic jednak nie mógł zrobić. Nie mógł wywołać wojny gangów, bo nie miał czym walczyć. Ethyl Wright załamała się, zaś Chris i Ben, podsłuchałem to następnego wieczora, zaczęli szukać potencjalnych podejrzanych i, co jasne,

rozpoczęli ode mnie. Ale ja stchórzyłem. Nie miałem odwagi przyznać się, jak było naprawdę. Nie potrafiłem powiedzieć, że to ja... ja zabiłem Richarda. Zamordowałem – perfidnie, okrutnie i bezwzględnie... Zabiłem go, mimo że wcześniej dzięki mnie zaczął żyć na nowo.

Jego pogrzeb był najbardziej traumatycznym wydarzeniem w moim życiu. Ukryty między nagrobkami obserwowałem szlochających rodziców, załamane rodzeństwo, wszechobecny smutek, wszechogarniający żal... Golgota nigdy nie widziała takich uczuć i pewnie nigdy więcej nie zobaczy. Na krzyżu przewiązałem opaskę, którą zwykł nosić na czole. Zanim odszedłem wiatr porwał ją z mogiły jednym silnym zrywem. Po tym nie miałem już ochoty żyć, ale... bałem się śmierci. Do czasu.

Teraz nieśmiało spoglądam ze swojego grobu, który umieścili niemal w jednej linii z miejscem spoczynku Richarda. Widzę jego bystre oczy i czarną opaskę na czole. Widzę szczery uśmiech, czuję jak poklepuje mnie po plecach. Tak bardzo chciałbym z nim porozmawiać...

Mamo... właśnie zabiłem człowieka, który uśmiercił mojego jedyne przyjaciela...

